# O „LUDZIACH BOGA”

# Zabójstwo mnichów z Tibhirine

W nocy z 27 na 28 marca 1996, w czasie wojny domowej w Algierii, doszło do porwania siedmiu mnichów z klasztoru trapistów z klasztoru w Tibhirine. 30 maja 1996 ich odcięte głowy zostały odnalezione w pobliżu miasta Al-Midija. Dziewięć dni wcześniej do zamordowania zakonników przyznała się Zbrojna Grupa Islamska. Mimo tego tożsamość inicjatorów i sprawców porwania oraz ich faktyczna motywacja pozostają przedmiotem dyskusji.

Porwanie i śmierć mnichów z Tibhirine są kanwą filmu Xaviera Beauvois *Ludzie Boga*.

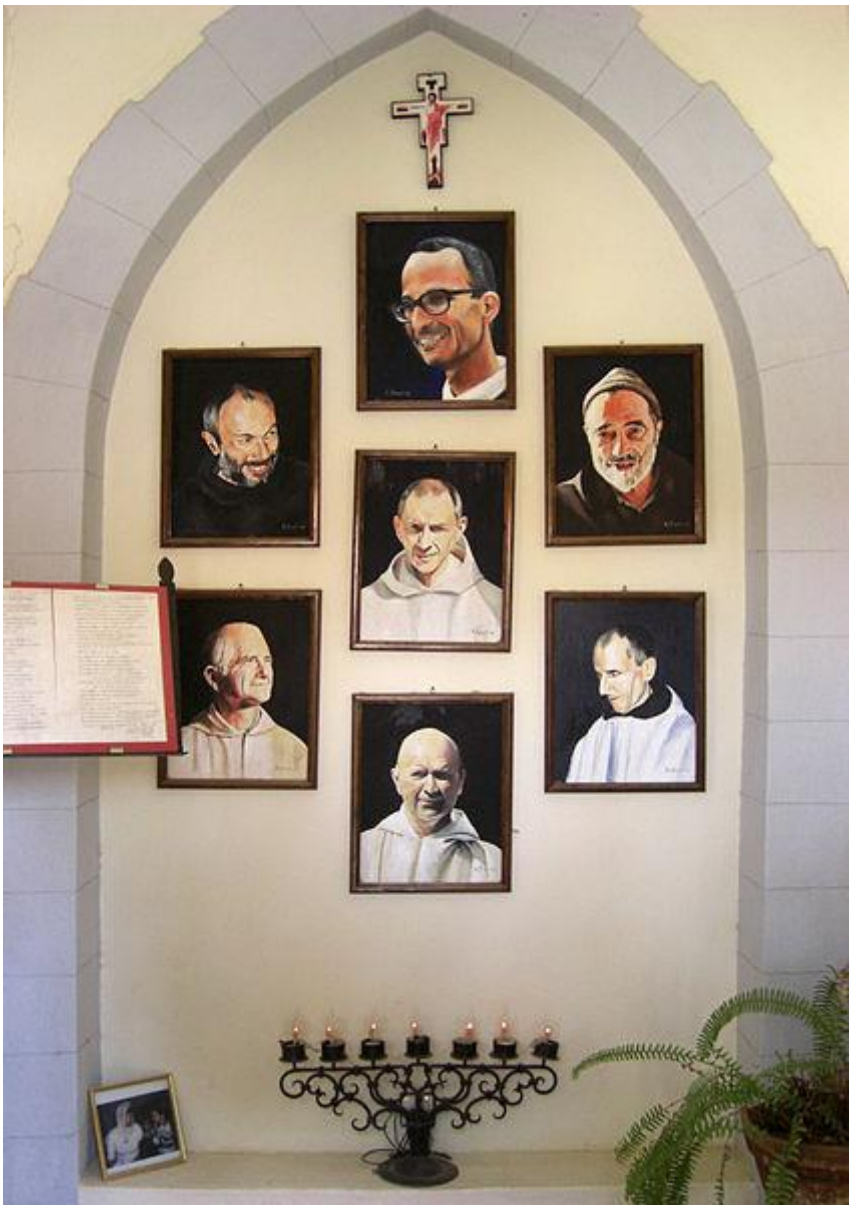

**Portrety zamordowanych mnichów z Tibhirine w klasztorze trapistów w Midelt**

## Tło wydarzeń

Klasztor Najświętszej Maryi Panny z gór Atlasu w Tibhirine został założony w 1938 przez trapistów ze wspólnot w Aiguebelle i w Rahjenburgu. Żyjący w nim mnisi zajmowali się zgodnie z regułą modlitwą i pracą na roli, z której się utrzymywali, ponadto wykonywali prace na rzecz miejscowej ludności (nauczanie dzieci, gabinet lekarski)[2]. Po odzyskaniu niepodległości przez Algierię działalność zakonników na rzecz społeczności lokalnej musiała zostać ograniczona, ponadto władze odebrały mnichom znaczną część posiadanej przez nich ziemi oraz narzuciły ograniczenie liczebności wspólnoty do 12 osób. Z powodu spadku liczby katolików w Algierii mnisi przegłosowali nawet "stopniowe zamykanie klasztoru". O jego przetrwaniu zdecydowała postawa arcybiskupa Algieru Léona Étienne'a Duvala, który zaapelował do całego zakonu cystersów o jego utrzymanie; w 1964 do Algierii przybyło ośmiu braci z klasztorów w Aiguebelle i Timadeuc[2].

W tekście poświęconym życiu konsekrowanemu powstałym w 1994 mnisi z Tibhirine określali swoją wspólnotę jako grupę "modlących się wśród innych modlących się" (fr. *priants au milieu d'autres priants*), co odnosiło się do funkcjonowania klasztoru w środowisku zamieszkanym przez muzułmanów[2].

Po wybuchu wojny domowej w Algierii w regionie doszło do eskalacji przemocy wymierzonej w chrześcijan. 14 grudnia 1993 na ścieżce w pobliżu klasztoru odnaleziono ciała zamordowanych robotników jugosłowiańskich, którzy wcześniej uczestniczyli w nabożeństwach świątecznych w kościele trapistów. Wydarzenia te zakonnicy relacjonowali w liście opublikowanych 24 lutego 1994 na łamach francuskiego pisma katolickiego *La Croix*. Wcześniej, w noc z 24 na 25 grudnia 1993 do klasztoru wtargnął oddział partyzantów islamskich dowodzonych przez emira Sayyata Attiyę, który zażądał od mnichów wypłacenia "podatku rewolucyjnego" i chciał zabrać ze sobą brata Luka, lekarza. Przeor wspólnoty odmówił, oznajmił jednak, iż duchowny przyjmie wszystkich chorych, którzy zgłoszą się do klasztoru. Wówczas napastnicy odeszli.

W wewnętrznym głosowaniu mnisi z Tibhirine zdecydowali, iż mimo wszystko pozostaną w klasztorze. Odmówili również przyjęcia ochrony wojskowej, zadeklarowali jedynie, iż będą zamykać bramę klasztoru każdego dnia o 17.30 i ograniczą kontakty ze światem zewnętrznym[2]. W konflikcie zbrojnym w kraju zakonnicy zachowywali neutralną postawę. Jednak z zachowanych tekstów ich autorstwa wynika, iż doskonale zdawali sobie sprawę z zagrożenia, w jakim się znajdowali[2]. Przeor klasztoru, o. Christian de Chergé, napisał:

> Jeśli pewnego dnia - a może to nastąpić w każdej chwili - przyjdzie mi stać się ofiarą terroru (...) to chciałbym, żeby moja wspólnota, mój Kościół i moja rodzina nie zapomnieli, że oddałem życie Bogu i temu krajowi. (...) Kiedy będą myśleć o mojej śmierci, chciałbym, żeby pomyśleli również o rzeszach bezimiennych ludzi, którzy tak samo zginęli. Moje życie nie jest więcej warte niż życie innych[3]

## . Zabójstwo

### Porwanie

Mnisi zostali siłą wyprowadzeni z monasteru i porwani nocą z 27 na 28 marca 1996[4]. Napastnicy, w liczbie ok. 20, zmusili ogrodnika Mohammeda do otwarcia bramy lub przeskoczyli przez mur[2]. Atak na klasztor trwał 30 minut[5]. Porwania uniknęły osoby przebywające w domu gościnnym oraz dwaj mnisi, którzy wyjątkowo się w nim znajdowali: o. Jean-Pierre i o. Amédée[2]. Bezpośrednio po zdarzeniu dwaj ocaleli zakonnicy zdali sobie sprawę z sytuacji i usiłowali telefonicznie zawiadomić sąsiadów oraz policję; linia telefoniczna została jednak odcięta. Z powodu godziny policyjnej udali się na posterunek policji dopiero następnego dnia[5].

Następnego dnia o. Amédée i o. Jean-Pierre udali się na najbliższy posterunek wojskowy, gdzie dotarli po siódmej rano. Zostali jednak poinformowani, iż dowodzący oficer jeszcze śpi i nie ma potrzeby go budzić. Zakonnicy udali się zatem na posterunek policji w Al-Midiji, gdzie spisano ich zeznanie. W tym momencie nie podjęto jednak żadnych dalszych działań[5]. O porwaniu poinformowano również francuską ambasadę (wszyscy mnisi byli narodowości francuskiej[4]) oraz miejscowego arcybiskupa[5]. Ogłoszono powstanie jednostki kryzysowej poszukującej zakonników, jednak przez miesiąc (tj. do oświadczenia prawdopodobnych porywaczy) przekazywano jedynie deklaracje, iż śledztwo jest na właściwej drodze, nie wyszły jednak na jaw żadne nowe fakty[5].

### Wystąpienie prawdopodobnych porywaczy

Do porwania zakonników przyznała się Zbrojna Grupa Islamska w oświadczeniu z 27 kwietnia, datowanym na 18 kwietnia[4]. Tekst podpisany nazwiskiem Djamel Zitouni ukazał się na łamach pisma *El Hayat* w Londynie i przedrukowany w piśmie z Al-Midiji. Być może dwa dni wcześniej mógł się z nim zapoznać prezydent Francji Jacques Chirac[5].

30 kwietnia 1996 przedstawiciel Zbrojnej Grupy Islamskiej, przedstawiający się jako Abdullah, przyniósł do ambasady francuskiej w Algierze kasetę z nagranymi dziesięć dni wcześniej głosami mnichów[5]. Według przedstawicieli ambasady Abdullah w czasie półtoragodzinnej rozmowy z dyplomatami francuskimi zadeklarował, iż Djamel Zitouni otrzymał kasetę od konkurencyjnego klanu, winnego porwania duchownych. Abdullah miał też prosić francuski rząd o pomoc w uratowaniu trapistów[5].

## Śmierć i pogrzeb mnichów[edytuj]

23 maja tego samego roku Grupa wydała kolejny komunikat, w którym poinformowała, iż dwa dni wcześniej zakonnicy zostali zabici[4]. 31 maja w polu obok Aj-Mediji odnaleziono odcięte głowy zamordowanych. Zostały one pochowane na cmentarzu klasztoru w Tibhirine 4 czerwca 1996, dwa dni po uroczystościach pogrzebowych, jakie miały miejsce w katedrze w Algierze[4]. Przed pogrzebem ks. Armand Veilleux pragnął obejrzeć i zidentyfikować szczątki, na co otrzymał zezwolenie po początkowych poważnych trudnościach[6].

Przez cały okres przebywania zakonników w niewoli w katedrze Notre-Dame w Paryżu płonęło siedem świec - znak nadziei na ich odnalezienie. Zostały one zgaszone po wydaniu komunikatu o śmierci mnichów. 28 maja 1996 w Paryżu 10 tys. osób zebrało się w celu oddania hołdu zamordowanym[2].

## Zamordowani

| | Imię i nazwisko | Data i miejsce urodzenia | Data złożenia ślubów wieczystych | Dane biograficzne |
|---|---|---|---|---|
| **1** | o. Christian de Chergé | 18 stycznia 1937, Colmar | 1 października 1976 | Przełożony klasztoru w Tibhirine od 1984. Uczestnik dialogu ekumenicznego |
| **2** | o. Christophe Lebreton | 11 kwietnia 1950 | 1 listopada 1980 | W klasztorze był mistrzem nowicjatu oraz zastępcą przełożonego. Autor dziennika i wierszy, częściowo wydanych pośmiertnie[4] (tytuł polski *Tchnienie daru*) |

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| **3** | o. Bruno Lemarchand | 1 marca 1930, St. Maixent | 21 marca 1990 | Od 1956 był kapłanem, do zgromadzenia trapistów wstąpił jako nowicjusz w 1989. Od 1992 był przełożonym filii klasztoru w Tibhirine w Maroku. W dniu porwania przebywał w macierzystym klasztorze w celu uczestnictwa w przewidzianych na 31 marca 1996 wyborach przełożonego. |
| **4** | o. Célestin Ringeard | 27 lipca 1933, Touvois | 1 maja 1989 | Od 1960 był kapłanem, do zakonu trapistów wstąpił jako nowicjusz w 1987. W klasztorze pełnił funkcję kantora |
| **5** | br. Luc Dochier | 31 stycznia 1914, Bourg-le-Péage | 15 sierpnia 1949 | Przed wstąpieniem do zakonu uzyskał wykształcenie medyczne. W Tibhirine prowadził otwartą dla wszystkich klinikę[4]. W Tibhirine przebywał najdłużej z zamordowanych braci (od 1946). W 1959 został porwany przez algierskich partyzantów, jednak miejscowa ludność przekonała ich, by uwolnili mnicha znanego ze swojej działalności jako lekarz |
| **6** | br. Michel Fleury | 21 maja 1944, Ste Anne | 28 sierpnia 1986 | W klasztorze pełnił funkcje kucharza i ogrodnika. Znany był z prostoty i daru modlitwy |
| **7** | br. Paul Favre-Miville | 17 kwietnia 1939 w Vinzier | 20 sierpnia 1991 | W klasztorze wykonywał wszelkie prace naprawcze - przed wstąpieniem do zakonu był hydraulikiem. |

## Wątpliwości wokół oficjalnej wersji wydarzeń

Wersja o zabójstwie trapistów przez Zbrojną Grupę Islamską jest przyjmowana przez rząd Algierii[7]. Funkcjonują jednak również dwie alternatywne wersje wydarzeń. Według pierwszej z nich mnisi zostali zamordowani przez algierskie tajne służby (Djamel Zitouni miałby być ich agentem[8]), które poprzez morderstwo na mnichach i przypisanie go partyzantce islamistycznej chciały pogorszyć jej wizerunek w międzynarodowej opinii publicznej[9]. O winie algierskiego wywiadu był przekonany biskup Oranu Pierre Claverie, który 1 czerwca 1996 również padł ofiarą ekstremistów islamskich[8].

Według kolejnej wersji mnisi zostali porwani na zlecenie wywiadu algierskiego, gdyż udzielali pomocy medycznej także islamskim terrorystom. Grupa dowodzona przez Zitouniego, agenta tajnych służb, faktycznie uprowadziła zakonników, jednak zostali oni odbici z jej rąk przez prawdziwy oddział islamistów, a następnie przez nich zabici[8].

Jeszcze inny możliwy scenariusz przedstawił sędziemu Markowi Trévidikowi gen. François Buchwalter. Opierając się na relacji anonimowego byłego oficera algierskiego stwierdził on, iż mnisi zostali przypadkowo zabici w czasie nalotu armii algierskiej na obóz Zbrojnej Grupy Islamskiej[6]. Informacja ta została powiązana z faktem, iż nigdy nie odnaleziono ciał, a jedynie głowy zabitych; powstała w ten sposób

teza, iż zwłoki zakonników zostały celowo poćwiartowane w celu zatarcia śmiertelnych ran postrzałowych zadanych im przypadkowo przy nalocie algierskim[8]. Gen. Buchwalter twierdził, iż swoje informacje przekazywał ambasadorowi francuskiemu w Algierii, Michelowi Levêque'owi, oraz francuskiemu ministerstwu obrony. Fakt ten nie miał jednak żadnych następstw[6]. Minister obrony Hervé Morin stwierdził natomiast w 2009, iż Francja nie miała powodów, by w 1996 ukrywać jakąkolwiek prawdę o śmierci mnichów[9].

## Śledztwo

W 2004 skargę do prokuratury paryskiej wniosła rodzina jednego z zabitych, o. Christophe'a Lebretona[8].

W lipcu 2009 prezydent Francji Nicolas Sarkozy poinformował o przekazaniu prokuraturze paryskiej całości dokumentów związanych ze śmiercią zakonników. Zapewnił również o swojej determinacji w zakresie wyświetlenia okoliczności ich zabójstwa[9]. Podobną deklarację przedstawiła minister sprawiedliwości Michèle Alliot-Marie[9].

Wg : http://pl.wikipedia.org/wiki/Zab%C3%B3jstwo_mnich%C3%B3w_z_Tibhirine

**********

Były klasztor trapistów w Tibhirine, w górach algierskiego Atlasu

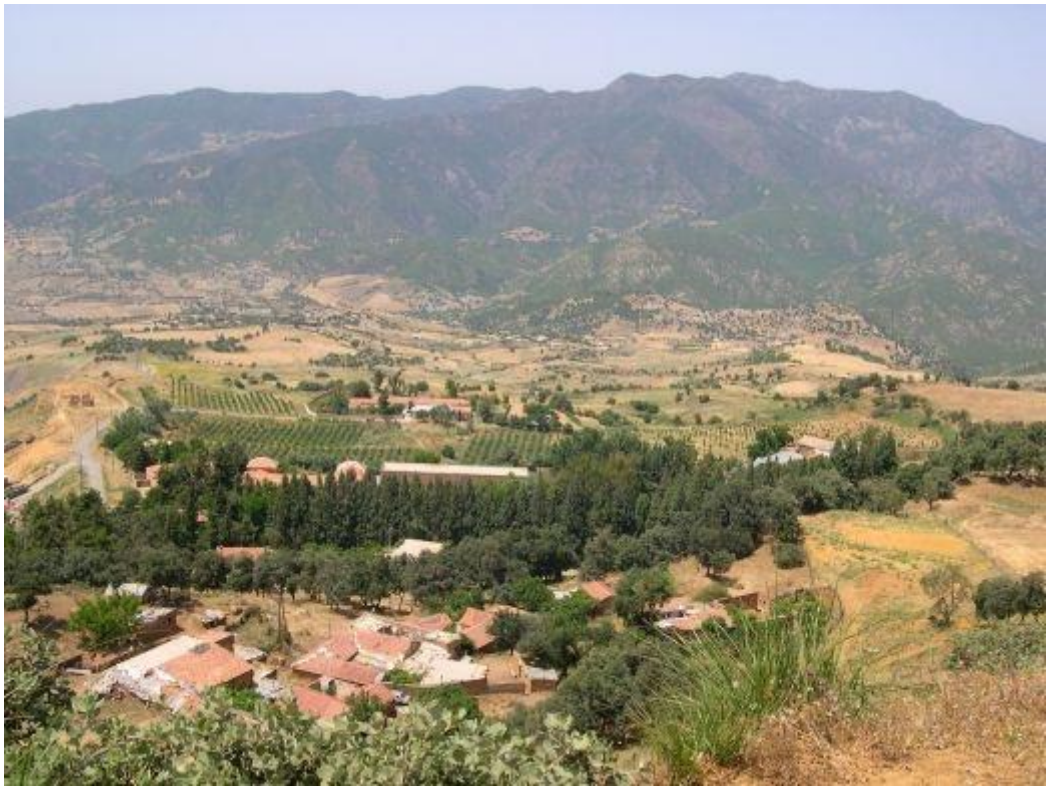

# „Ludzie Boga”

**Michał Zioło OCSO** - 26.01.2011 12:46

**Cała wspólnota z Tibhirine miała w zwyczaju modlić się za siebie i islamskich terrorystów, których nazywała po chrześcijańsku „braćmi z gór”, słowami: „Panie, rozbrój ich, Panie, rozbrój nas”. Moc doskonali się w słabości – jak nas poucza sam Zbawiciel i jak obrazuje to życie ojca Lebretona, bo gdy w marcową noc 1996 roku wyprowadzano na śmierć jego braci – tym razem nie zabrakło go w szeregu.**

Myślę, że jest to historia nawrócenia, którego męczeńska śmierć ojca Krzysztofa w maju 1996 roku była już tylko przypieczętowaniem. Wydaje się, że tylko taki dziennik godzi się prowadzić mnichom, którzy podczas profesji zakonnej ślubują obok posłuszeństwa, czystości i ubóstwa także „ustawiczne nawrócenie”. Być może więc dziennik ten należałoby nazwać raczej „dziejnikiem”, bo dzieją się w nim *mirabilia Dei,* dzieje

się i codziennie rośnie osoba ludzka, gdy przezwycięża swoje małości i gdy rozrasta się w sobie tak mocno, że nie pozostawia w swojej duszy miejsca na nienawiść i strach, które są źródłem wojny i terroryzmu, i wreszcie coraz mocniej splatają się dzieje algierskiego mnicha i Jego Mistrza, tak że przy końcu nie będą już do rozróżnienia.

Ten „dziejnik" ma swoją oś, ma swoją ostrą kreskę, która dzieli te piękne strony, podobnie jak życie Krzysztofa, na „przed" i „po" . Cezurą dla tego mocnego a wrażliwego po czubki włosów życia, które czasami bywało i kolczaste dla klasztornych domowników z Tibhirine, jest data 24 grudnia 1993 roku. Na tej wigilii Bożego Narodzenia kładł się już cień masakry dwunastu chorwackich robotników w pobliskiej wiosce Tamesguida, dokonanej kilka dni wcześniej przez grupę „emira" Sayaha Attii, ale widocznie mnisi mieli osobiście doświadczyć klimatu niepewności i przemocy, którym codziennie oddychała Algieria po anulowaniu pod naciskiem kręgów wojskowych przeprowadzonych 26 grudnia 1991 roku i pierwszych od czasu odzyskania niepodległości wyborów do Zgromadzenia Narodowego. Radykalne islamskie ugrupowanie Abassi Madaniego odniosło w nich przygniatające zwycięstwo nad mieniącą się „przewodnią siłą" algierskiego narodu partią weteranów i beneficjentów walki o niepodległość. Upokorzone, wypowiedziało krwawą wojnę, w której podejrzanym o kolaborację ze sprzyjającym kulturze i obyczajom „niewiernych" rządem mógł być praktycznie każdy. Tego wieczoru niezapowiedzianą wizytę w klasztorze złożył wraz ze swoimi uzbrojonymi po zęby ludźmi sam „emir" Attia. Żądał pieniędzy, lekarstw, chciał zabrać ze sobą w góry osiemdziesięcioletniego brata Luca, lekarza, by ten pielęgnował rannych z oddziału. Groził. Przeor klasztoru Christian de Chergé odważnie odmówił żądaniom. Tym razem terroryści darowali mnichom życie. Krzysztof w tym czasie siedział ukryty w betonowym zbiorniku na wino. Wyszedł z kryjówki, gdy usłyszał dzwony klasztorne zwołujące wspólnotę na pasterkę, aż do tej chwili przekonany, że wszyscy nie żyją. Domyślać się tylko możemy, co działo się w sercu tego zakonnika, skoro swoją ucieczkę do betonowej cysterny opisał słowami, że było to „wstępowanie do piekła". Wewnętrzne rozbrojenie człowieka – jak mawiał patriarcha Atenagoras – jest rzeczą straszną, a w wigilijnym przypadku ojca Krzysztofa mamy do czynienia właśnie z takim rozbrojeniem. Zresztą, cała wspólnota z Tibhirine miała w zwyczaju modlić się za siebie i islamskich terrorystów, których nazywała po chrześcijańsku „braćmi z gór", słowami: „Panie, rozbrój ich, Panie, rozbrój nas". Widocznie Bogu spodobało się jakąś część tej modlitwy wypełnić. Moc doskonali się w słabości – jak nas poucza sam Zbawiciel i jak obrazuje to życie ojca Lebretona, bo gdy w marcową noc 1996 roku wyprowadzano na śmierć jego braci – tym razem nie zabrakło go w szeregu. Męczeństwo to jest pociechą dla nas, chrześcijan, jest podtrzymaniem naszej nadziei, że niekoniecznie muszą się na nas sprawdzić słowa nieźle znającego przecież życie Josifa Brodskiego z eseju poświęconego pamięci Stephane'a Spendera: „Jeżeli człowiek raz skulił się przed przemożnym wpływem strachu, to na zawsze przesądził przyszłość swojego kręgosłupa: z całą pewnością znów się kiedyś skuli".

Urodził się w 1950 roku w Blois w wielodzietnej rodzinie. W dwunastym roku życia postanowił, że w przyszłości zostanie księdzem. Uczeń „małego seminarium" po maturze wybiera wydział prawa na uniwersytecie w Tours. Nie opuszcza jednak kościelnych kręgów, bo studiując, zarazem zarabia na swoje utrzymanie jako wychowawca w tutejszym „małym seminarium". Pod koniec studiów w 1972 roku wpadają mu w ręce pisma Karola de Foucauld, czuje, że znalazł swoją drogę do Boga, która połączy w sobie życie ukryte, materialne ubóstwo i modlitwę. Zachował się jego list do rodziców z tego właśnie okresu, który dobrze oddaje gorączkowy klimat powtórnych narodzin powołania. Pisze w nim z pewną emfazą: *Nie mam czasu do stracenia, bo czas nie należy już więcej do mnie. Najważniejsze to nie dać Bogu czekać.* Tę determinację pomagają nam zrozumieć dwa fakty z okresu studiów w Tours. Trzeba nam wiedzieć, że Krzysztof był wtedy wytrwałym czytelnikiem Maurice'a Zundela, który podobnie jak François Varilon nie wahał się mówić o pokorze Boga, Jego uczuciach i potrzebie bycia kochanym przez człowieka. Krzysztof potraktował rodzące się w nim powołanie właśnie jako skierowaną do niego prośbę Boga o miłość. Nigdy zresztą później nie będzie traktował tej tajemnicy inaczej jak związku dwóch osób. Pośpiech w daniu Bogu pozytywnej odpowiedzi ma jeszcze jedno źródło. Na całe szczęście nie znamy imienia studentki z Tours, która swego czasu odrzuciła miłosne wyznanie Krzysztofa – zwalnia nas to od kluczenia i zacierania śladów, by nie wprowadzać na trop kronikarzy. Odmowa ta posiadała swoją błogosławioną stronę i dlatego

fakt ten przywołuję – Krzysztof nie wahał się później mówić, że doskonale wie, jak smakuje kategoryczne „nie” powiedziane proszącej miłości.

W przekonaniu Krzysztofa Bóg czekał na niego u Małych Braci Karola de Foucauld. Plany szybkiego dołączenia do nich pokrzyżował obowiązek odbycia po studiach służby wojskowej. Znającym długowłosych młodzieńców roku ’68. i ich zapatrywania trudno jednak będzie sobie wyobrazić Krzysztofa w wojskowych kamaszach, a on do tego pokolenia należał ciałem i duszą. W ramach służby zastępczej wyjechał do Algierii, bo myślał być blisko małych braci, i w latach 1972–1974 widzimy go jako gorliwego korepetytora opóźnionych w nauce algierskich uczniów z dzielnicy Husajn Dej. Słusznie można powiedzieć, że w tym okresie panem tej dzielnicy był nie kto inny jak proboszcz Carmona, legenda algierskiego Kościoła. Hiszpan z pochodzenia, syn zaprzysięgłych komunistów, przyjaciel najuboższych i – co najważniejsze – człowiek doskonale znający geografi ę ludzkiego serca. To on przygarnął wtedy długowłosego „profesora” i mianował się jego przewodnikiem. A ponieważ sam był gorliwym pielgrzymem do klasztornych progów w Tibhirine, zabierał ze sobą – niby to przypadkiem – Krzysztofa. Cysterscy mnisi siedzieli tam od roku 1938, choć datę pierwszej fundacji synów św. Bernarda w Algierii należy przesunąć o sto lat wstecz, w czasy, kiedy Francja na kolonizowanych terenach wyznawała „strategię trzech słów”: „pług, miecz, krzyż”. Sprowadzeni z opactwa Aiguebelle mnisi, specjaliści od karczunku, mieli zadbać, aby pierwsze z tych słów stało się ciałem na dziewięćsethektarowej posiadłości w Staoueli na zachód od Algieru, jeszcze nie tak dawno bronionej przed francuską inwazją przez zaciężne tureckie oddziały. Zachowane w aiguebellskim archiwum fotografie z tamtego okresu świadczą o tym, że i drugie ze słów nie było mnichom całkiem obce, bo widzimy na nich dość pokaźny mniszy komunik na mułach uzbrojony w strzelby. Zachowało się jednak wzruszające świadectwo przebywającego we francuskiej niewoli emira Abdelkadera, który w rozmowie z przypadkowo napotkanym opatem ze Staoueli, Franciszkiem Regis, miał się wyrazić o tamtejszych mnichach: „Znam was dobrze ze słyszenia, bo moi ludzie odwiedzają klasztor i zawsze przyjmujecie ich tam jakby byli waszymi braćmi”. Budynki nowego klasztoru w Tibhirine zaplanowano z wielkim rozmachem, podobnie ambitna była dewiza nowego opactwa: *Lux in montibus*. Dalsze dzieje klasztoru pokazują, jak te same słowa inaczej interpretuje Bóg i człowiek. „Opactwo” w Tibhirine to dla Boga kilka skromnych budynków starej, jeszcze dziewiętnastowiecznej, angielskiej farmy o ciepłych odcieniach żółci i czerwieni oraz położony nieco wyżej budynek domu gości w kolorze ochry, ale już nie opuszczony przez kolejne pokolenia mnichów, potężny, górujący nad okolicznymi biednymi zagrodami, budynek z architekturą przypominającą te z powieści gotyckich, w którym jeszcze nie tak dawno, mimo przeciekającego miejscami dachu, z powodzeniem przechowywaliśmy czosnek, cebulę i migdały. Plany wyraźnie pokazują, że był on zaledwie realizacją jednej czwartej całości o podobnie wyrafinowanych cechach. Tibhirine rzeczywiście leży w górach Atlas, a w okna skryptorium zagląda masyw Tamesguida, który w spokojne dni zdaje się zmieniać kolory w rytm dzwonka z pobliskiej, pełnej śmiechu i dziecięcego gwaru szkoły. Staje się za to zacieniony i zastygły, gdy nadlatują śmigłowce i bombardują kryjówki islamskich terrorystów.

*Lux in montibus* – w zamyśle autora dewizy owo światło miało rozpraszać mroki islamu, jaśnieć zwycięsko poprzez zaprowadzaną przez mnichów kulturę, imponować, i przez to przyciągać tutejszych górali. Bóg zaś zrozumiał to inaczej – światłem stało się ukryte życie braci, w skromności i biedzie, niczym nieróżniące się od życia ich muzułmańskich sąsiadów, wreszcie ich śmierć, bo nie chcieli wyjechać do Francji, kiedy Algierczycy nie mieli gdzie wyjechać. Światło ich życia i śmierci podobne raczej do pełgającego płomienia oliwnej lampki, który trzeba chronić przed agresywną interpretacją, bo wciąż podnoszą się głosy próbujące przypisać braciom prowokację, chorobliwe pragnienie męczeństwa czy prosty brak wyobraźni; przed zapomnieniem, bo ich czyn zbyt prześwietla naszą wygodę; przed przerażeniem, które może przerodzić się w agresję, bo każe spodziewać się podobnej w imię śmierci Allaha w samolocie, metrze, supermarkecie czy biurowcu.

*Lux in montibus?*Ależ doskonale pamiętam te czterdziestowatowe żarówki tutejszą modą zawieszone na gołym drucie, dziwnie zbiegającą się ze stylem trapistów, żarówki gasnące przy mocniejszym podmuchu wiatru i psujące, i tak już wysilone nad czytankami z arabskiego, oczy.

Prostota i położenie klasztoru oczarowały Krzysztofa, także jedenastoosobowa wspólnota zrobiła na przybyszu dobre wrażenie. Reszta należała do Chrystusa. Ostatecznie Krzysztof wstąpił do trapistów w 1974 roku, nowicjat jednak odbywał w opactwie Tamié we Francji i w algierskie góry wrócił dopiero w roku 76. Prosta, męska, egzotyczno-monastyczna przyszłość w ostrym klimacie Atlasu zdawała się stać otworem przed młodym mnichem, gdy ostatniego grudnia tegoż roku złożył swoje pierwsze śluby zakonne. Rzeczywistość okazała się jednak dla niego za trudna. Co zaważyło na decyzji powrotu do klasztoru w Tamie? Zaawansowany wiek współbraci? Ich duszący konserwatyzm? Słaba liturgia? Majacząca na horyzoncie decyzja zamknięcia klasztoru, który nie ma szans rekrutacji w muzułmańskim kraju? Ciężkie warunki życia? A może charakter Krzysztofa, głodnego miłości buntownika i wytrwałego poszukiwacza Boga? Człowieka ciągle jeszcze przymierzającego się do zagrania wyznaczonej mu przez Stwórcę części partytury? Różnie można sądzić, bo choć śluby stałości miejsca złożył w Tamié, dalej nie znajduje pokoju serca i w latach osiemdziesiątych widzimy go podróżującego do Troyes, gdzie uczy się stolarstwa, i do położonego na bagnach opactwa Dombes, gdzie zostaje odpowiedzialnym za dom gości. Dojrzałość wreszcie bierze go w posiadanie i w maju 1987 roku wraca do klasztoru swojego pierwszego wezwania, gdzie przyjmuje święcenia kapłańskie 1 stycznia 1990 roku. Ważna jest też w tym życiorysie data przystąpienia Lebretona do *Ribât al-Sâlam* („więź pokoju") – grupy dialogu międzyreligijnego, założonej przez Claude'a Rauta, zbierające się od 1979 dwa razy do roku w klasztornym domu gości w Tibhirine. W 1994 zostaje zabity jeden z członków grupy, brat Henri Verges, i Krzysztof pragnie go zastąpić w pracy zespołu. Mówi się, że jego wkładem nie był jednak głos w dyskusjach teologicznych, lecz zgodna z „duchem Asyżu" modlitwa.

Ważna jest, zdaje się, jego poezja, prosta, skondensowana, przypominająca momentami haiku, wzbogacana zawsze niezwykle oszczędnymi rysunkami świadczącymi o pewności ręki i arystokratyzmie gustu. Szkicowane elementy powtarzają się, znajdziemy wśród nich dłoń, przebite serce, krzyż, drabinę, kwiat, płomień. Uważnemu i cierpliwemu czytelnikowi i obserwatorowi powoli zacznie się z nich składać cała teologia zaprawiona duchem św. Jana Ewangelisty. Ważne są jego spotkania z ludźmi przyjeżdżającymi do klasztoru. Był uważnym, ciepłym słuchaczem. Siostry zakonne – choć nie powinny tego robić – zapamiętały z tych spotkań jego duże, piękne oczy.

Ważne są jego ogrodnicze prace, w które wkładał całego siebie bez ulgowej taryfy, na równi z arabskimi robotnikami Mussą i Alim, którzy powoli stali się jego oddanymi przyjaciółmi. Po jego śmierci odziedziczyliśmy jego czerwony traktor, który był dobrze zakonserwowany i służył nam, kiedy próbowaliśmy nadać ogrodowi wygląd jak za czasów brata Krzysztofa, co dobrze świadczy o mnichu z mocnym, intelektualnym pazurem.

Najważniejsza jest jego miłość do Chrystusa, któremu pozwolił się przemienić. Najważniejsza i samotna dziś jest jego mama, Jehanne Lebreton, z której wziął, co najlepsze. Najważniejszy i otoczony jego modlitwą jest każdy czytelnik, który pochylając się nad tymi zapiskami, odkryje być może, że Tibhirine jest wszędzie tam, gdzie pojawia się niekłamana miłość, prawda i przebaczenie, że Tibhirine jest w nas, jeśli tylko odważymy się przyjąć samych siebie i innych ludzi takimi jakimi są, i pomóc sobie i innym stać się takimi, jakimi chce nas widzieć jedyny Bóg.

**Wg http://dominikanie.pl/polecamy_x/polecamy/set,1,news_id,2707,polecamy.html**

## O Tibhirine i „Ludziach Boga"

**Trapiści nie chcieli ginąć jak męczennicy. Zadawali sobie nieustannie pytania, czy bezsensowna śmierć z poderżniętym gardłem komukolwiek się przyda, czy nie będzie raczej świadectwem lekkomyślności niż heroizmu. Podjęli jednak jednomyślną decyzję, aby trwać na miejscu i to pomimo lęku, którego wielu z nich nie potrafiło do końca przezwyciężyć.**

**Zobacz trailer filmu "Ludzie Boga"**

Tegoroczny Dzień Życia Konsekrowanego, obchodzony 2 lutego (2011 r.) w święto Ofiarowania Pańskiego, nieprzypadkowo chyba zbiegł się z polską premierą filmu „Ludzie Boga". Śledzimy w nim ostatnie miesiące życia garstki francuskich trapistów żyjących w algierskich górach Atlasu, w klasztorze Tibhirine. Zostali oni porwani i następnie zamordowani przez mudżahedinów ze Zbrojnej Grupy Islamskiej (GIA) prawie 15 lat temu.

**Pamiętam dobrze ten moment**

Porwanie mnichów miało miejsce w marcu 1996, na kilka dni przed niedzielą Palmową, zaś zamordowanie – w okolicach Zielonych Świąt. We wszystkich kościołach i wspólnotach we Francji trwała modlitwa w intencji ich uwolnienia i trwożne oczekiwanie. W Algierii szalała wojna domowa, podczas której radykalne ugrupowania islamskie usiłowały obalić w partyzanckiej wojnie wojskową dyktaturę, która nie chciała uznać ich zwycięstwa w wolnych wyborach w grudniu 1991 roku (wojskowi przerwali wybory po pierwszej turze, gdy okazało się, że islamiści wygrywają prawie we wszystkich okręgach wyborczych). Ginęło wówczas ponad pięćdziesięciu ludzi dziennie, zaś cudzoziemcy (jako niepożądani innowiercy) – w pierwszej kolejności. W zamachu zginął też biskup Oranu, Pierre Claverie, którego zdążyłem nawet kiedyś poznać w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, gdy przyjeżdżałem tam, by odwiedzić swoich rodziców (mój ojciec był kooperantem – wykładał chemię na uniwersytecie w Oranie).

Algieria lat osiemdziesiątych była zupełnie innym krajem niż obecnie. W Polsce szalał stan wojenny, a tam, na miejscu, słońce, luz, sympatyczni ludzie, złociste plaże i do nabycia wszelkie „kartkowe" produkty takie jak cukier, mięso (poza zakazaną przez Proroka wieprzowiną) czy też „egzotyczne" owoce (winogrona, figi, mandarynki…), które tam nie były bynajmniej egzotyczne. Owszem były problemy natury biurokratycznej, należało się wystrzegać drobnych złodziejaszków, a także dbać o to, aby nie popełnić jakiegoś faux pas, które mogłoby wzburzyć miejscowych (dla przykładu nie należało popędzać klaksonem na skrzyżowaniu kierowców, którzy się właśnie spotkali i wymieniali pozdrowienia). Ale tak naprawdę w porównaniu z szarą, beznadziejną polską rzeczywistością pod wodzą generała w ciemnych okularach był to swoisty „mały raj" dla wielu spragnionych normalności rodaków.

Nawet na życie duchowe nie można było specjalnie narzekać. Co prawda większość pofrancuskich kościołów zamieniono na meczety lub biblioteki, niemniej czynne były jeszcze trzy miejsca katolickiego kultu, zaś przesympatyczny „ksiądz Hiszpan" o. Berenguer zachwycał nas kazaniami i troską o swych parafian.

**Wszystko zmieniło się w 1988 roku**

Algieria, utrzymująca się prawie wyłącznie ze swoich złóż gazu, wpadła w tarapaty finansowe przy pierwszej większej obniżce cen tego surowca. Państwowe subwencje na wszelkie produkty pierwszej potrzeby uległy drastycznej redukcji – i rozpoczęły się demonstracje niezadowolonej z postępującej drożyzny ludności. Z okazji skorzystali oczywiście wszelkiej maści islamiści, bo argumenty, wskazujące, że tylko powrót do „czystej wiary" gwarantuje dobrobyt, są pod tamtym niebem bardzo chwytliwe.

Władze początkowo ustąpiły, godząc się na [prawie] wolne wybory – no i stało się to, co się stało. Algierski „mały raj" skończył się, a przerażeni kooperanci z byłych demoludów spiesznie powrócili do swych ojczyzn właśnie w cudowny sposób uwalnianych z sowieckiego jarzma. Wielką tragedię przeżywali za to przebywający w Algierii obywatele byłej Jugosławii, gdzie właśnie zaczęła się wojna domowa. Oni nie mieli gdzie wracać. To właśnie chorwackim technikom i robotnikom pracującym nieopodal klasztoru Tibhirine bojownicy GIA poderżnęli gardła w grudniu 1993 roku – jakoby w odwet za masakry bośniackich muzułmanów…

Rządzący Algierią wojskowi wywodzą się z antykolonialnej partyzantki, która wygnała stamtąd prawie milion mieszkających przez kilka dziesięcioleci Francuzów. Uznali, że skoro zdobyli kraj, to teraz należy on do nich i mogą robić w nim, co chcą. Nie postawili ani na rozwój turystyki (bo po co płaszczyć się przed byłymi kolonizatorami w kurortach), ani na rolnictwo, ani na przemysł – bo przecież wszystko miał zapewnić eksport skroplonego gazu, do czego wystarczyło wynająć paruset zdeterminowanych i suto opłacanych inżynierów rodem z USA i Japonii.

Przy takiej „strategii rozwoju" dla młodych ludzi wchodzących w życie nie ma oczywiście żadnych poważnych perspektyw – może poza karierą wojskowo-policyjną – zaś wykształcenie służy przede wszystkim do tego, aby szukać szczęścia w dawnej kolonialnej metropolii… W takim kontekście społecznym w naturalny sposób rodzi się przekonanie, że zmianę może zapewnić jedynie nowa władza, która może przegnać władzę obecną dokładnie w taki sam sposób, w jaki obecna władza przegnała Francuzów – to znaczy, prowadząc wojnę partyzancką. Już nie w imię prawa do samostanowienia, ale w imię sprawiedliwości społecznej, którą jest w stanie zagwarantować tylko ścisłe trzymanie się koranicznych reguł.

Ofiarami wojen domowych są, jak zawsze, zwykli ludzie, stający się niemymi zakładnikami obu zwalczających się frakcji. W latach 1954-62 przeżywali już wojnę kolonialną – i nie wszyscy byli zwolennikami niepodległości! Wielu Algierczyków chciało być lojalnymi Francuzami, bo rozumieli, że oznacza to wyższy stopień rozwoju cywilizacyjnego. Mogliby przyjąć od swych kolonizatorów bardzo wiele, nie mogli jednak pogodzić się z pogardą, jaką francuscy osadnicy żywili do ich religii i kultury, z odcinaniem ich młodzieży od wykształcenia (nawet średniego) i przeznaczaniem do podrzędnych zawodów.

Czarę goryczy przelało nierówne traktowanie weteranów obu wojen światowych: tzw. franco-musulmans nie mogli liczyć, poza rzadkimi wyjątkami, na żadne honory i na żadne wojenne renty, a dla dumnych Arabów była to sprawa elementarnej godności osobistej. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku stopień upokorzenia, jaki musieli doznawać zarówno od rodzimego wojska i policji, jak i islamskiej partyzantki, przeszedł wszelkie wyobrażalne granice. Wszędzie wyczuwało się atmosferę terroru i beznadziei, która popychała setki tysięcy ludzi do ucieczki. Czuli się przez wszystkich porzuceni, zdani na własny instynkt samozachowawczy.

W tym właśnie kontekście rozegrał się dramat siedmiu francuskich trapistów. Klasztor Tibhirine został założony jeszcze w latach międzywojennych, gdy Francuzi zdawali się być zainstalowani w Algierii niemal na stałe. Po ich masowej ucieczce w 1962 roku wydawał się on utracić rację bytu, jednak arcybiskup Algieru chciał go utrzymać, jako szczególny znak chrześcijańskiej obecności w ongiś chrześcijańskiej Afryce Północnej. Już w czasie wojny partyzanckiej z lat pięćdziesiątych kilku tamtejszych trapistów zostało zakładnikami algierskich partyzantów w odwet za aresztowanie przez władze kolonialne znanego imama, który głosił konieczność odzyskania przez Algierię niepodległości w imię przysługującej wszystkim ludziom godności. Wtedy jednak nikt nie ośmielił się podnieść na mnichów ręki, bo dobrze pamiętano o wersecie Koranu:

*I z pewnością się przekonasz, że najbliżsi, przez swoją przyjaźń, tym, którzy uwierzyli, są ci, którzy mówią: „My jesteśmy chrześcijanami!" Tak jest, albowiem są wśród nich księża i mnisi i oni nie wbijają się w pychę. (sura 5,24)*

**Ludzie Boga**

Zadaniem trapistów z Tibhirine stało się uczynienie tego fragmentu muzułmańskiej Świętej Księgi czymś autentycznym i żywym: danie świadectwa o respekcie zaangażowanych chrześcijan wobec religii i kultury ludzi Maghrebu i wymazanie fatalnego obrazu, jaki przeciętny *franco-musulman* mógł mieć w czasach kolonialnych o przeciętnym franco-chrétien. I na ten fragment właśnie w filmie „Ludzie Boga" powołuje się przeor Christian w rozmowie z mudżadehinami w wigilię Bożego Narodzenia…

Mnisi, zgodnie z wielką monastyczną tradycją Zachodu, modlą się i pracują (najczęściej w ogrodzie i na roli), tak aby nie zależeć od pomocy innych. Dbają też o dobre relacje z miejscową ludnością, której służą pomocą w miarę możliwości. W Tibhirine nie było inaczej, tyle że tradycyjny łaciński śpiew gregoriański zastąpiły posoborowe francuskie hymny. Trapiści byli też po trosze pszczelarzami, pasterzami i rolnikami. Ludzie tłoczyli się wokół klasztoru ze względu na darmowe konsultacje medyczne i aby zasięgnąć porady w swoich sprawach życiowych.

Wojna domowa nie zmieniła tego rytmu, wprowadziła jednak istotne zaburzenia. Dla władz obecność mnichów stała się niewygodna, bo czuli się w obowiązku, aby ich pilnować, oni zaś nie chcieli zawdzięczać czegokolwiek skompromitowanemu i skorumpowanemu reżimowi. Mudżahedini z GIA chcieli dostawać lekarstwa, a nawet leczyć w klasztorze swoich rannych, a to oznaczałoby niemożność udzielania pomocy ludziom przybyłym niekiedy z bardzo daleka. Dla miejscowych zaś wyjazd mnichów oznaczałby porzucenie ich na pastwę losu, bo tylko w ich klasztorze znajdowali jeszcze oparcie pozwalające im zachować bodaj chwiejną, lecz rzeczywistą, równowagę psychiczną.

Trapiści nie chcieli ginąć jak męczennicy. Zadawali sobie nieustannie pytania, czy bezsensowna śmierć z poderżniętym gardłem komukolwiek się przyda, czy nie będzie raczej świadectwem lekkomyślności niż heroizmu. Tygodnie i miesiące trwał proces rozeznawania, czy pozostawać, czy też opuścić klasztor – bodaj na jakiś czas. Podjęli jednak jednomyślną decyzję, aby trwać na miejscu i to pomimo lęku, którego wielu z nich nie potrafiło do końca przezwyciężyć.

Otóż właśnie ów lęk stał się „kamieniem zgorszenia" niektórych komentatorów filmu. Jak to mnich, który wraz ze ślubami wyrzekł się świata i samego siebie, teraz tak kurczowo trzyma się życia, chowa się pod łóżkiem i rozpamiętuje szczęśliwe chwile spędzone w gronie rodzinnym? Gorzej: nie stroni od smakołyków i dobrej muzyki, jest podatny na uczucia, bo płacze i śmieje się, a nawet rozmawia z młodymi dziewczynami muzułmańskimi o tym, jak to jest, gdy się w kimś zakochało? Czy to jest godny naśladowania ideał dla tego, kto chce zaprzeć się samego siebie i iść za Jezusem?

Zarzut poważny, zmuszający do głębszego zastanowienia się, co jest istotą powołania do życia konsekrowanego. W tradycji Wschodu mamy u początków przykład pustelników, którzy ruszali na pustkowie, aby walczyć z demonem poprzez modlitwę naśladując w tym Jezusa, który 40 dni pościł na pustyni. W tradycji Zachodu mamy jednak nieco inną motywację, która narodziła się w okresie ostatecznego rozpadu starożytnej rzymskiej cywilizacji. Św. Bernard w VI wieku zakładał klasztory po to, aby w ich murach ocalić to, czego nie można było już odnaleźć w świecie opanowanym przez wojny, masakry i bezładne „wędrówki ludów". Przemieszczano się, by uciec przed licznymi niebezpieczeństwami, albo też właśnie po to, aby rabować innych. Ocalić normalność i przestać się bać przebywać na tym samym miejscu – nawet gdy wokół wszystko płonie i wali się. Dzięki sile modlitwy i uporczywej, codziennej pracy, której owoce są większe niż łupy zdobyte na grabieży resztek świetności upadającego imperium. Tak wyglądała w telegraficznym skrócie słynna reguła „stabilności miejsca" [stabilitas loci], która ocaliła od zniszczenia cały zachodnioeuropejski obszar kulturowy. Wszystko to dzięki klasztornym oazom i ogrodom, które wyrastały wszędzie, gdzie tylko było o możliwe, nie licząc się z żadną ofiarą.

**Tibhirine znaczy ogród**

Nieprzypadkowo tibhirine po arabsku znaczy ogród. Trapiści postanowili w nim trwać z podobnych powodów i w podobnej sytuacji jak ta, która miała miejsce w najciemniejszych latach wczesnego średniowiecza w plądrowanej przez barbarzyńców Europie. Trwać nie po to, aby dać się głupio zarżnąć, ale po to, aby podtrzymać nadzieję, że normalne życie i praca w pokoju są możliwe, choć wymagają wielkiej odwagi. Ich klasztor stał się równocześnie prawdziwym Ogrodem Oliwnym, gdzie przed oddaniem życia za braci, przeżywali podobne udręki jak ich Mistrz i Pan. Tam Jezus też przeżywał lęk i ludzki strach, tam także prosił Ojca, aby nie przyszło na niego to, co przyszło. I tak jak w przypadku Jezusa nie to motywowało mnichów, aby ich śmierć stała się jakimś „okupem" za dawne winy kolonizatorów i obecne

winy kolonizowanych, bo chodziło im wyłącznie o miłość do ludzi, którzy im zostali powierzeni przez Ojca niebieskiego. „Do końca ich umiłował”… Przyszedł ocalić to, co zginęło, nie szczędząc swojego życia i ryzykując je dla nas. Oto istota prawdziwego pójścia za Jezusem. Cała reszta blednie wobec tej niewysłowionej Tajemnicy Odkupienia, w której osoby konsekrowane mają swój szczególny udział. Ukazanie tego Misterium współczesnemu światu znaczy daleko więcej niż wszelkie ofiary z samego siebie, które stereotypowo utożsamiamy ze stanem zakonnym.

Oryginalny francuski tytuł filmu brzmi nie „Ludzie Boga”, ale „Ludzie i bogowie” w nawiązaniu do psalmu 82, gdzie piętnuje się niesprawiedliwych sędziów, uważających się za „bogów” wobec swoich podsądnych:

Ja rzekłem: Jesteście bogami
i wszyscy – synami Najwyższego.
Lecz wy pomrzecie jak ludzie,
jak jeden mąż, książęta, poupadacie

**Ludzie, którzy biorą siebie za bogów, za panów życia i śmierci, zostaną sprowadzeni do prochu ziemi, lecz ci, którzy w pokorze idą śladami Jednorodzonego Syna Bożego zostają wywyższeni do stanu przebóstwienia. Krzyże porzuconego klasztoru Tibhirine na grobach zamordowanych mnichów otwierają cały kraj, dla którego oddali życie, na Obecność Tego, kogo nie mogli przynieść ci, dla których Bóg był jedynie pretekstem do okazywania bliźnim brutalnej przemocy i pogardy.**

## Czy naprawdę rozumiemy to przesłanie?

Jacek Święcki 03.02.2011 13:58, aktualizacja 04.02.2011 12:51, pobrano 06.02.2011 00:17

http://www.deon.pl/religia/wiara-i-spoleczenstwo/art,255,o-tibhirine-i-ludziach-boga.html

http://www.deon.plhttp://www.deon.pl/religia/wiara-i-spoleczenstwo/art,255,o-tibhirine-i-ludziach-boga.html

# TRUMNA ALBO WALIZA

**"Klasztor trapistów jest jak sowiecki okręt atomowy, jak "Kursk". Człowiek jest ograniczony, osaczony, wychodzą z niego różne złe rzeczy, mówię też o sobie. Nas w tym "Kursku" jest 26".**

## Rozmowa z ojcem Michałem Zioło, trapistą, o filmie Xaviera Beauvois "Ludzie Boga", Algierii i byciu mnichem

**Muszę zwracać się "proszę ojca"?**

- Jestem Michał. Potem może pani potem możesz sobie - jeśli chcesz - tego "ojca" w tekście dopisać.

**Jaki masz związek z filmem "Ludzie Boga", który opowiada o porwaniu siedmiu mnichów, trapistów, z klasztoru Notre Dame d'Atlas w Tibhirine w Algierii w 1996 roku?**

- Mój związek polega na tym, że noszę taki sam habit jak zamordowani. W 1996 roku moja historia zaczęła nagle przyśpieszać. Pamiętam, jak 26 marca Maciek Zięba wszedł do zakrystii - byliśmy wtedy we Wrocławiu - i powiedział: "Porwali mnichów".

**W niecałe dwa miesiące później zostali zamordowani.**

- 21 maja dowiedzieliśmy się, że przypadkowy człowiek natrafił na ich odcięte głowy, ciał do tej pory nie odnaleziono.

**Miałeś w tym czasie być w Tibhirine. Jak ocalałeś?**

- To był przypadek. W Tibhirine miałem odbyć mój drugi nowicjat. Wcześniej przez 15 lat byłem w zakonie dominikanów. Żeby dostać się do Tibhirine, musiałem porozmawiać z tamtejszym przeorem, ojcem Christianem. Wyznaczył mi spotkanie w Maroku. Poznałem tam także ojca Brunona. Obaj są bohaterami filmu, obaj zginęli. Po spotkaniu musiałem wrócić do Polski po algierską wizę. W tym czasie porwano mnichów.

**O klasztorze Tibhirine mówi się jako o chrześcijańskiej wyspie pośród muzułmanów. A o śmierci mnichów, że zginęli w imię dialogu.**

- Bardzo nie lubię tych wszystkich zbyt szybkich interpretacji. Mówiono, że to wydarzenie ma zacieśniać przyjaźń między narodami, że śmierć mnichów buduje przyszłość w kontaktach chrześcijańsko-islamskich. Albo odwrotnie. To wszystko oczywiście jest prawdą. Ale dajmy temu ziarnu najpierw obumrzeć, temu winu dojrzeć, wydestylować się prawdzie z ich życia i śmierci. Czasami odnosiłem wrażenie, że komentując świadectwo mnichów z Tibhirine, mówiliśmy to, co chcieli usłyszeć dziennikarze.

**Podkreśla się dobre stosunki między trapistami i muzułmańską ludnością w Tibhirine.**

- Trzeba powiedzieć, że klasztor został postawiony wcześniej, niż te stosunki się zawiązały. Często ludzie wyobrażają sobie, że mnisi tam pojechali, żeby uprawiać dialog, a to była przecież wspólnota kolonialna. Algieria przez ponad 100 lat była kolonią francuską, a mnisi kształtowani byli w szkole kolonialnej - czyli

my z Europy przynosimy sposób uprawy roli, całą kulturę.

**Ale nie ewangelizację, tego nie ma chyba w regule trapistów.**

- Nie myśleli o ewangelizacji, bo żyli w środowisku francuskim. Rdzenni Algierczycy byli zepchnięci na margines.

Na początku, w czasach kolonialnych, Tibhirine to nie była żadna wyspa. W Boże Ciało po głównej ulicy Medei, najbliższego miasta, chodziły procesje. Ojciec Amadeusz, który pamiętał jeszcze tamte czasy, opowiadał: "A ja to z Najświętszym Sakramentem po ulicy szedłem, o tak, przed sobą", i wyciągał ręce w przód, jakby dalej go trzymał.

Tibhirine to stary klasztor, założony w 1938 roku, ale mnisi przez lata zmieniali się mentalnie. Kiedy Algieria w 1962 roku zyskała niepodległość, to Kościół, który właściwie był Kościołem dla Francuzów, zadał sobie pytanie: "Co dalej? Zostajemy? Odchodzimy?". To dotyczyło zresztą wszystkich Francuzów.

**Jak to wyglądało? Co zdecydowali?**

- Popularne było wtedy złowrogie hasło lansowane przez ekstremę algierskich niepodległościowców: "Trumna albo waliza" - czyli wyjeżdżajcie albo dostaniecie kulę w łeb. Odbył się ogromny exodus pełen tragedii ludzkich. Ludzie mieszkali z dziada pradziada na tamtym terenie, 100, 150 lat, i nagle muszą jechać do Francji, której czasem wcześ-niej na oczy nie widzieli. Na miejscu spotykała ich wrogość rdzennych Francuzów, którzy przyjmowali uchodźców algierskich jak obcych, bo to konkurencja, zabiorą miejsca pracy.

Klasztor ewoluował wraz z Kościołem algierskim. Najpierw mieli potężne winnice, kulturę rolną, byli samowystarczalni. Francuzi traktowali Algierczyków jak robotników sezonowych, myślę, że mnisi nie byli inni w tych sprawach. Po odzyskaniu niepodległości zaczęło się to zmieniać. To była ogromna praca, również intelektualna, żeby wszystko przewartościować, zdecydować, że się zostaje, i znaleźć sobie sens bycia tam.

**Dlaczego ty zostałeś trapistą? Jako dominikanin miałeś znaczący dorobek - działalność duszpasterza akademickiego w Gdańsku, książki, telewizja. Dlaczego zrezygnowałeś z kariery, postanowiłeś zacząć wszystko od początku, w klasztorze kontemplacyjnym, o ścisłej regule, daleko stąd?**

- Otrzymałem - jak ja to nazywam - powołanie w powołaniu. W terminach, których my używamy - było to wezwanie, żeby prowadzić życie mnisze, bardziej zamknięte, odizolowane od świata.

Chociaż byłem bardzo szczęśliwy u dominikanów, głos, który usłyszałem, był tak silny, że należało za nim pójść. Byłem wtedy na drugim roku filozofii w Krakowie, miałem 21 lat. Pamiętam jak dziś, spacerowałem sobie pod jabłonką i nagle spadł na mnie ten głos.

Jako początkujący dominikanin postanowiłem skonfrontować go z autorytetem mojego spowiednika, słynnego ojca Joachima Badeniego. Na kolanach przed nim mówię: "Ojcze, pójdę do trapistów", a on zaciera ręce i woła: "Zmęczony kleryk, zmęczony". A więc żyłem dalej po staremu, złożyłem śluby i - muszę powiedzieć - bardzo lubiłem swoją pracę. Jednak po pierwszym roku w miesięczniku "W Drodze" w Poznaniu napisałem do prowincjała o moich planach. Odpowiedział, że jak odpracuję osiem lat, będę wolny. I tak się stało.

**Czym się różni zakonnik od mnicha?**

- Przez słowo zakonnik rozumiemy człowieka, który żyje we wspólnocie podlegającej pewnym prawom

kościelnym. Ta grupa zbiera się, wiąże i żyje w jakimś celu, często jest to cel apostolski, tzn. głoszenie słowa, zajmowanie się biednymi, praca na uniwersytetach, w szpitalach. Są zakony apostolskie, np. dominikanie, i kontemplacyjne, które nie mają takich zadań, np. trapiści, kartuzi, którzy oddają się modlitwie chóralnej i pracy fizycznej, żeby przez te praktyki i życie we wspólnocie dokonać wyzwolenia z grzechu i zjednoczyć się z Bogiem. Każdy mnich jest zakonnikiem, ale nie każdy zakonnik jest mnichem. Monastycyzm nie jest zjawiskiem zarezerwowanym dla chrześcijaństwa, znają go i inne religie, ale zawsze chodzi o jedno - otwarcie duszy na bezgraniczną wolność. My, chrześcijańscy mnisi, dodajemy: na wolność Boga, Który jest Święty i Nieznany.

**Nie wydaje ci się dziwne z tym głosem?**

- Nie, bo jestem wierzący i potrafię odróżnić głos Boga od swojego zmęczenia i jakichś, powiedziałbym, fluidów psychologicznych.

**Jak odróżnić go od głosu wewnętrznego?**

- To bardzo proste. Ten głos przychodzi z zewnątrz, nie wychodzi ze mnie. Odbieram go wewnętrznie, ale on jest z zewnątrz. Głos, który nie zależy ode mnie, jest zawsze bardzo jasny, prosty, wolny - albo lepiej: niezależny, zapraszający.

**Mówi słowami czy przekazuje treść inaczej?**

- W moim przypadku są to zawsze słowa.

**Jakie to były słowa?**

- Powiedziałbym: biblijne. Nagle usłyszałem: "Wyjdź!". Często mówił przez tekst, który czytałem. Słyszę to wewnętrznym uchem, ale naprawdę słyszę. Mówi się: "powołanie", czyli sytuacja, w której ktoś mnie woła, wzywa.

**To jest męski głos? A może nie ma płci?**

- Jest męsko-żeński.

**A twoje pierwsze powołanie? Pewnie jeszcze w Tarnobrzegu, skąd pochodzisz.**

- Nie chciałbym zaszokować czytelników, ale miałem raptem pięć lat. I niezbyt lubiłem chodzić na msze dziecięce, podczas których ksiądz podchodził z mikrofonem do dzieci i kazał coś tam mówić albo się modlić. Mnie się wydawało, że jestem starszy i poważniejszy niż ta smarkateria przy ołtarzu, taka dziecięca pycha. Ponieważ miałem poważną astmę, nie musiałem w tej zabawowej liturgii uczestniczyć. Zresztą byłem dość dziki i zawsze stałem daleko od ołtarza, w bocznej nawie. Stoję więc sobie tak kiedyś w kościele z moją niewiele starszą siostrą, ksiądz mówi: "Idźcie, ofiara spełniona", wszyscy się odwracają, ja też, i wtedy poczułem Coś takiego na mnie spadło, otuliło mnie i powiedziałem sobie, a właściwie powtórzyłem to, co usłyszałem: "Będę księdzem". Po mszy pobiegłem do ojca i powiedziałem: "Tato, ja będę księdzem". A ojciec: "To bądź". Rozmowa urwała się na długo, a ja dojrzewałem z tą myślą.

**Dlaczego twój wiek miałby szokować?**

- Powołania są różne, na ogół jednak późniejsze. Bardzo się wstydziłem mojego, myślałem, że to jakieś nienormalne. Kiedy przyjechałem do Poznania odbyć nowicjat, zobaczyłem, że bracia podejmowali decyzję czy usłyszeli ten głos o wiele później, np. ktoś miał dziewczynę i nagle stwierdził, że to nie to, albo

planował studia, a miesiąc później już był w nowicjacie. A ja w wieku pięciu lat! No to mówiłem, że ja też w ostatniej chwili.

**Czyli kłamałeś.**

- Kłamałem. Opowiadanie o powołaniach to jest też trochę targowisko próżności, to, że otrzymałem je tak wcześnie, i do tego w małym miasteczku Wstydziłem się, w każdym razie mówiłem, że stało się to później.

**Rodzice byli religijni?**

- Bardzo. Mieszkaliśmy naprzeciwko kościoła dominikanów, widziałem przez okna wieże i klasztor. Oboje byli urzędnikami, pracowali na poczcie, ojciec był człowiekiem zdecydowanym, czasem cholerycznym, a matka stanowiła piorunochron, potrafiła wszystko załagodzić. Ojciec zawsze mówił: "Potrafisz, stać cię na to", a mama: "Zrobisz, jak będziesz chciał". To dopełnianie się uważam za piękne.

**Gdyby porównać głos w kościele z tym spod jabłonki?**

- To ten sam głos, głos rodzący we mnie ogromne przekonanie, że zrobię to, o co mnie prosi.

**Tibhirine uważa się za miejsce pojednania religijnego, ale ty nad ideą pojednania pracowałeś już wcześniej. Jako dominikanin jeździłeś z młodzieżą do byłego obozu Birkenau. Tę ideę wyniosłeś z domu, z zakonu, a może to przypadek?**

- Powiem tak: miejsce Holocaustu w mojej rodzinie, przestrzeń, którą zajmował, były ogromne.

**Co masz na myśli?**

- Mama opowiadała nam - mam troje rodzeństwa, młodszy brat też został dominikaninem - o ruszających się mogiłach, w których leżeli rozstrzelani Żydzi. To były zbiorowe groby, pokazywała nam te miejsca. Jako dziewczynka słyszała strzały, opowiadała nam o prześladowaniach Żydów, strasznie to przeżywałem. Mieszkaliśmy blisko synagogi, którą zamieniono w bibliotekę publiczną, ale zanim to zrobiono, straszyła wybitymi oknami.

Dziecko nie myśli w kategoriach Holocaustu, myśli po prostu, że tu przede mną byli i zginęli jacyś ludzie. Ten ruszający się piasek robił niesamowite wrażenie.

Mama mówiła o sklepikach, że kupowała ze swoją siostrą u Żydów chleb, jakieś wstążki. Domeczki przy rynku były żydowskie, a my tam zamieszkaliśmy. Mieszkaliśmy w ich domu.

**Jakie to uczucie?**

- Trudno zamknąć w słowa to, co czuje dziecko, a nie chcę narzucać dzisiejszej perspektywy. Wiem, że intuicyjnie łączyłem ten ruszający się piach zbiorowych mogił z faktem zamieszkiwania w domu pomordowanych.

Pamiętam, jak wszedłem na strych - byłem małym berbeciem - i znalazłem książkę w szarej okładce, po polsku. Zniosłem ją z ogromnym pietyzmem na dół: „Mamo, zobacz, znalazłem żydowską książkę”. A mama: „To jest »W pustyni i w puszczy «”.

Oni byli ciągle obecni, ci mieszkańcy, ci rozstrzelani.

**Duchy?**

- Ludzie.

Żydów wpędzono w nurty Wisły i tam do nich strzelano, pływały kapelusze po wodzie. To się opowiadało. Do dworca szło się trzy kilometry, po lewej stronie był kirkut, dziecko odwraca głowę i widzi gwiazdy Dawida, ręce wyrzeźbione na macewach, jest zafascynowane, ciekawe treści napisów wykutych na sterczących w niebo kamieniach. Ta inność mnie pociągała. Nie racjonalizowałem tego, to była ogromnie niepokojąca obecność, wręcz agresja ze strony kamieni.

Żeby być uczciwym - mnie to nie przerażało. Jeśli żyje się wśród tych kamieni, tu synagoga, tam cmentarz, po drodze do mojej babci, w lasku, miejsca, gdzie rozstrzeliwano, dziecko przeżywa to dziesięciokrotnie. Ale to nie był strach, lęk, tylko ogromna fascynacja, jak to jest, że coś było i tego nie ma. A może jednak jest? Tylko inaczej? Wtedy tak tego nie określałem, ale duch tych pytań unosił się w powietrzu, podobnie jak ich wołania.

**Jak wyglądały wyjazdy z młodzieżą do Birkenau?**

- To były rekolekcje, w listopadzie, spotykaliśmy się tam, a potem ich zostawiałem, ale nie w grupie, tylko samotnych, na zimnie, mrozie. Każdy miał być sam w obozie przez wiele godzin, nie widzieć drugiego. Potem spotykaliśmy się w rozebranym baraku, odmawialiśmy psalmy.

**Buddyści w połowie lat 90. też w listopadzie przyjeżdżali do Auschwitz i siedzieli na rampie.**

- Wtedy jeszcze nie siedzieli.

**Listopad, bo to najgorsza pora, pogoda? Żeby źle się czuć, doświadczyć zimna jak więźniowie?**

- Byliśmy tam, żeby dopuścić do siebie bezradność, własną bezradność w tym miejscu. W miesiącu, w którym przyroda nie opowiada się za człowiekiem. W listopadzie, w którym zwyczajowo wspominamy zmarłych.

**Bezradność wobec problemu, wobec zła?**

- Bezradność wobec tego, co się stało. Ja i to miejsce, konfrontacja. Co dalej z tym zrobić? A może nic nie robić, tylko być? Może wtedy łatwiej przemówi do nas nasze sumienie, które dostrzegło już w nas zawiązki dużego zła, skrywaną przemoc, skłonność do eliminacji drugiego, bo jest inny? Ale to jest już kaznodziejstwo, my podczas tych oświęcimskich rekolekcji ofiarowywaliśmy temu miejscu naszą obecność, tylko tyle. Nie troszczyliśmy się o tzw. owoce tej obecności.

**Później rozmawialiście?**

- Tak, ale nie gadaliśmy zbyt wiele i długo. Były momenty, w których można było z drugą osobą parę słów zamienić. Odczucia były dla mnie lekko szokujące. Młodzi ludzie, dziewczęta, chłopcy, ja sam nie byłem stary, zbieramy do kupy nasze przeżycia, ja pytam: "I co?". A oni: "Ogromne ciepło i łagodność". Wszyscy. Ja mówię to samo. Czuliśmy obecność tych ludzi, ale nie krzyki, rozdarcia, które niektórzy - jak opowiadają - słyszą, tylko ogromne ciepło i opiekę ludzi, którzy zginęli. Bardzo mocno to czułem.

**Pomysł na rekolekcje w Birkenau to z twoich dziecięcych przeżyć?**

- Nie zastanawiam się nad tym, nie psychologizuję, bo człowiek jest poruszany, powodowany przez Stwórcę, posyłany, ma zrobić to albo tamto. Przeżycia z dzieciństwa mogą nam pomóc rozwijać tę dyspozycyjność, ale bez nich możemy być równie dynamiczni, to On posyła.

**Ludzie różnie odczuwają swoje życie, los, motywacje do działania.**

- Ja jestem wyraźnie powodowany, poruszany. Pamiętam, jak powoli stając się trapistą, szukałem opactwa,

do którego mógłbym się udać i tam już żyć. Nie chciałem, żeby to było duże opactwo z krowami i produkcją serów, tylko coś bardzo ubogiego, skromnego.

Do Poznania przyjechał Krzysztof Śliwiński, wtedy ambasador Polski w Maroku. Powiedział: "Wiesz, mam coś dla ciebie", i dał mi adresy do Maroka i Algierii. Dlaczego z nim rozmawiałem? Dlaczego opowiedziałem mu o moich pragnieniach? Do tej pory nie wiem. Wymieniam go, bo zawdzięczam mu spotkanie z braćmi z Tibhirine. Poznałem go przez Maćka Ziębę, ale czegoś takiego nie mówi się komuś ot tak, z drogi, nawet jeśli jest superinteligentny, duchowy. Opowiadając to, chcę pokazać, jak jestem powodowany, spotykam człowieka i nagle otwiera się przede mną nowa rzeczywistość. Jestem mediumiczny, czuję, że powoduje mną Bóg. To nie znaczy, że jestem święty, mam tylko wyostrzony słuch.

**Takie rzeczy się zdarzają. Ktoś inny powie: przypadek, traf, może intuicja.**

- A ja, że zostałem wysłany do niego, a on do mnie. Tak uważam, to jest moje prawo. Ciekawe, że często szlachetnie i z dużą dozą obiektywizmu używamy właśnie tych słów - przypadek, traf, intuicja, żeby nie powiedzieć, że Bóg nas kocha i nami się opiekuje.

**Maroko, Algieria, rok w Kamerunie jako szef nowicjatu. Dlaczego Afryka?**

- To jeszcze pasja chłopięca, interesował mnie Czarny Ląd, marzyłem, żeby go dotknąć. Nasza sąsiadka miała kolekcję słoni z brązu, jako chłopiec przychodziłem, żeby się na nie pogapić, byłem pełen uwielbienia. Jej mąż - jeśli byłem grzeczny albo on tak uważał - stawiał przewodnika tych słoni na ziemi i mogłem go dotknąć, adorować. Do tego lektury, w tym wszystkim było coś pociągającego i mistycznego.

A może to dlatego, że mój pradziad był flisakiem, człowiekiem ogromnej siły i niespokojnego ducha, pływał z Sandomierza do Gdańska, a wracał, jak wszyscy flisacy, na piechotę.

**Taki kawał?**

- Tak, to z 800 km. Był za biedny, żeby opłacić sobie jakąś podwodę. Ojciec opowiadał, że po dopłynięciu wszyscy sprzedawali za kilka groszy tzw. drygawkę, drąg, najczęściej z młodego dębu, którym się kieruje tratwy. Pradziad nie sprzedawał go, tylko niósł z powrotem na południe. Widocznie uważał, że nie należy kupczyć narzędziem pracy. Uratowało mu to życie, kiedy w lesie napadł go pewnego razu jakiś zbój i chciał odebrać sakiewkę. Zbój poległ od tej drygawki. Takie przygody nie gasiły podróżniczego entuzjazmu pradziada.

Urodziłem się w 1961 roku, w 1974 po raz pierwszy zobaczyłem polskie morze i Polski Hak, gdzie pradziad cumował swoje tratwy, od razu była to ogromna miłość. A jeszcze trzeba dodać, że jestem wychowany w staroświeckich sentymentach kolonialnych, Liga Morska i te rzeczy oraz "Morze, nasze morze, będziem ciebie wiernie strzec, mamy rozkaz cię utrzymać albo na dnie twoim lec etc., etc.", wiesz, ludzie z południa mają czasami takiego bzika. Morze mnie fascynowało, byłem jak ten Żyd z fragmentu powieści, który czytałem w "Kulturze" paryskiej, który mówił: "Trzymać się morza, wtedy ocaleję". Potem, kiedy byłem duszpasterzem w Gdańsku, pływałem jachtem z przyjaciółmi, byliśmy w Sztokholmie i jeszcze wyżej

**Ale Afryka jest niżej.**

- Tak, ale w tej samej logice - wyruszyć, żeby spotkać coś nowego, powiedziałbym: spotkać Innego, ale może to zabrzmieć głupio, pod Kapuścińskiego. Wyruszyć, żeby w duszy otworzyło się okno na świat. Żeby przewietrzyć duszę i wygnać z niej etnicznego zadufka. Dużo też o Afryce czytałem i wydawało mi się na przykład, że ludzie w Afryce są piękniejsi ode mnie, w sensie fizycznym, co potem, w Kamerunie, okazało prawdą, bo Kameruńczycy są naprawdę piękni.

**Nie masz na koncie młodzieżowej przygody - muzyka rockowa, polityka?**

- Nie mam. Dlatego nasza przyjaźń z Maćkiem Ziębą jest dziwna, on był opozycjonistą, słuchał też wszystkich rockowych zespołów. Ja byłem domatorem, bo musiałem na osobności przetrawić to, co widziałem od czasu do czasu na moich dziecięcych wyprawach, byłem typem bardziej wsobnym, nie lubiłem krzyku i mocnego uderzenia, kochałem np. robić modele statków, samolotów. Podejrzewam, że w tych modelach umieszczałem, miniaturyzowałem moje pragnienie podróży.

Nie byłem nigdy rozrywany kryzysami wiara - niewiara, zawsze miałem dziecięcą ufność wobec Boga.

**A wobec ludzi?**

- Wobec ludzi nie. Byłem wycofany, ostrożny, bo miałem intuicję, która do dziś mnie nie zawodzi.

**Jeszcze jako dominikanin zajmowałeś się dziećmi autystycznymi. Co myślisz o autyzmie?**

- Autyzm to stan, kiedy wielkie duchowe bogactwo, źródło życia, indywidualność i inteligencja są chronione, są głęboko zakopane, otulone przez często nieskoordynowane i biedne ciało, męczące dla otoczenia.

Kiedyś odprawiałem mszę dla dzieci autystycznych, siedząc na ziemi, było dużo krzyku, ruchu. Jeden z chłopców stoi sobie z boku, nie patrzy na ołtarz, zdaje się nieobecny. Po mszy podchodzi do ołtarza, na którym stoi flakonik z kwiatami, bierze go i naśladuje gesty księdza podczas konsekracji, kiedy to m.in. ksiądz podnosi do góry kielich. Po takim podniesieniu chłopiec wyrzucił z wazonika kwiaty, a wodę uroczyście wypił. Powiedziałbym, że było to osiągnięcie. Inny moment - po wielu latach jedna z mam mówi: „Wiesz co, Michał, mój syn, który prawie się nie odzywa, wieczorem nagle mówi: »Ojciec Michał «". No to ja mówię: „To jest ogromna zapłata, za nic właściwie".

**Porwanie mnichów w Tibhirine w 1996 roku poprzedziła wcześniejsza próba zastraszenia czy wręcz już porwania ich w Wigilię 1993 roku. Mamy to w filmie. Czy rozmawiałeś o tej sytuacji z mnichami, kiedy byłeś w Maroku?**

- Nie. Trzeba znać mnichów, nie są specjalnie wylewni.

**Nie opowiadali, że ich napadli, bo trapiści mają mało mówić?**

- Chodzi o styl, który po latach staje się drugą naturą. Niektórzy ludzie uważają nawet, że mnisi okazują innym poczucie wyższości, nie rozmawiają albo nie dają odpowiedzi na stawiane im pytania, w rozmowie potrafią raczej delikatnie skręcić i wywinąć się od zadawanego pytania. Taką już mają trudną naturę. Kiedyś czytałem o podróżniku, który miał zaszczyt skosztować pijawek moczonych w miodzie. Na pytanie: "Jak smakują?", odpowiedział: "Tak jak pijawki moczone w miodzie". To jest właśnie ten styl. Irytujący oczywiście.

**Mieli przyjąć nową osobę z Polski, a wcześniej grożono im śmiercią.**

- Załatwili to bardzo prosto, mówiąc: "Jeśli będzie niebezpiecznie, to cię wyślemy do Francji". Kropka. Pijawki moczone w miodzie.

**Byłeś świadom niebezpieczeństwa?**

- No pewnie, ale tutaj wychodzi mój charakter, który odziedziczyłem po ojcu - nie będę uciekał.

**W tę Wigilię w 1993 roku dwóch mnichów się ukryło.**

- O tym też się nie mówiło, to wyszło dopiero po śmierci mnichów. Jeden z nich, Filip, nie złożył jeszcze ślubów wieczystych, wystąpił później z zakonu. Drugi, Krzysztof, który pełnił funkcję mistrza nowicjatu,

przygotował sobie kryjówkę. Wydrążył dziurę w suficie, miał drabinę, którą wciągał przez tę dziurę do kryjówki, wszystko było doskonale przygotowane.

Myśmy do tej kryjówki nawet wchodzili, kiedy już regularnie odwiedzaliśmy Tibhirine, jeżdżąc z Algieru pod eskortą żandarmów. Byłem chłopakiem spod Sandomierza, więc sytuacja w Tibhirine nie mogła nie kojarzyć mi się z XIII--wieczną historią męczeństwa 49 sandomierskich dominikanów. Zabili ich Tatarzy, kiedy zakonnicy śpiewali "Salve Regina". Jeden z zakonników zdołał się ukryć na chórze, skąd widział, jak zabijają braci. W końcu jednak zszedł na dół i zginął z innymi. Znałem tę historię od dziecka.

**Inni bracia w Tibhirine o kryjówce wiedzieli?**

- Myślę, że nie. Wiedzieli, że istnieją dwa prądy we wspólnocie: "Nie damy się zabić, to nie ma sensu, musimy być realistami", i drugi: "Zostajemy, bo przyrzekaliśmy". W filmie po pierwszym najściu przez terrorystów jest dyskusja - zostać czy wyjechać. To jedna z lepszych scen.

Krzysztof potem mówił, że ta drabina to były schody do piekła, i że on już więcej tego nie zrobi - bo wiesz, co się stało? Kiedy terroryści po tej wizycie wigilijnej wyszli, to on nasłuchiwał, czy usłyszy głosy braci, ale była kompletna cisza. Myślał, że wszyscy zginęli, zszedł po drabinie i wtedy zobaczył, że żyją.

**Co o tym myślisz?**

- Nie powinien był tego robić. Sam jestem słabym człowiekiem, ale myślę, że jak już jesteśmy razem, to musimy być razem do końca.

**Jak on z tym żył?**

- Przyznał się, że się schował, i powiedział: "Nigdy więcej tego nie zrobię". Musiał to przetrawić, żyjąc wśród braci. A jak przyszli po nich w marcu 1996, to już się nie chował, poszedł ze wszystkimi.

**A oni?**

- Wiesz mnisi nie są agresywni, ale swoje myślą.

**Dowiadujesz się we Wrocławiu, że zamordowano mnichów, i co? Jakoś to tłumaczysz? Nadajesz znaczenie faktowi, że ocalałeś?**

- Moją pierwszą reakcją był potworny gniew na tych, co ich zabili, myślałem, że bym ich rozszarpał, gdybym mógł. To było mniej ze względu na miłość do braci, a bardziej na to, że mordercy zniszczyli moje życie.

**Nie tłumaczyłeś tego wolą Boga?**

- Nie. Byłem wściekły.

I wciąż brakuje mi dystansu, oddechu, wiedzy, co ta śmierć znaczy dla mnie. Myślę, że dalej jestem w stanie gniewu. Gniewu, że zabrali mi kogoś, z kim bym się dogadał.

**Rozmawiałeś z dwoma mnichami, którzy ocaleli?**

- Tak. Jeden przez trzy lata był moim przełożonym, z drugim byłem później w Algierze. Amadeusz - ten starszy, bardzo szybko się pozbierał.

**Jak przeżyli? Jean-Pierre - w filmie - schował się pod łóżko.**

- W rzeczywistości mieszkał na furcie, pełnił w nocy dyżur, gdyby ktoś stukał, prosił o nocleg, lekarza itd. Ocaliła go zepsuta klamka, terroryści nie mogli otworzyć drzwi, on obserwował ich przez dziurkę od klucza. Bardzo mocno przeżył śmierć braci, nie mógł pogodzić się z tym, że ocalał.

Amadeusz spał w swoim pokoju, który był na parterze, nie w głównym ciągu cel na piętrze. Porywacze śpieszyli się, nie zauważyli go.

**Uważasz, że Jean-Pierre powinien otworzyć drzwi i solidarnie wyjść, jak zakonnik w Sandomierzu?**

- Nie. Został za drzwiami i to jest jego prawo. Nie przygotowywał przecież w tajemnicy kryjówki, tak jak wcześniej Krzysztof. Obaj ocaleni bardzo potem cierpieli psychicznie.

**Co myślisz o nowych faktach ujawnionych w 2009 roku? O wersji, że wprawdzie mnichów porwali terroryści, ale zabiło, przypadkowo, wojsko algierskie, ostrzeliwując z powietrza obozowisko? Potem odcięli głowy i podrzucili, pozorując winę porywaczy. Celem było ukrycie ostrzelanych ciał.**

- Trzeba dochodzić prawdy i jest to oczywiście obowiązek żyjących, ale dla nas, mnichów, niewiele to zmienia w wymowie śmierci. Zgadzam się z tym, co Christian, przeor Tibhirine, mówił do Krzysztofa: „Śmierć czy męczeństwo czy nie-śmierć i nie-męczeństwo nie mają aż takiego znaczenia. Powiedziałeś »daję życie Bogu « i tego nie da się odwołać”. Można oczywiście zrzucić habit i trzasnąć drzwiami, jesteśmy wolni, nikt nas nie będzie zatrzymywał.

Ciągle zastanawiam się, jaki sens ma ta śmierć dla mnie. Muszą być głębsze powody niż te dostępne w mediach, książkach.

**Doszedłeś do czegoś?**

- Mam taką ścieżkę, coś mi majaczy na horyzoncie Że to jest wezwanie dla każdego z nas, żeby oddać życie, to mnie trochę przeraża.

**Umrzeć czy poświęcić się czemuś?**

- Umieramy zawsze, kiedy się poświęcamy, coś w nas umiera, to, co było moje, moje ego, umiera, moja wygoda umiera, moja ambicja umiera

**Dlaczego zostałeś właśnie trapistą?**

- Jeszcze się nie dowiedziałem. Ludzie pytają: "Lubisz pewnie medytować?". I co ja mam im odpowiedzieć? Nie, ja nie mam w sobie nic kontemplacyjnego, jestem zwykłym człowiekiem.

**Co dla ciebie jest istotą bycia trapistą, co jest ważne?**

- Rozbrojenie.

**Co to znaczy?**

- Że człowiek opuszcza gardę, wiesz, jak faceci się boksują, to trzymają gardę.

**Co robisz w klasztorze oprócz rozmyślań i modlitw?**

- Zamiatam, zbieram liście, opiekuję się zielenią, odpowiadam za nią - chyba ma ze mną ciężko. Kiedyś karczowałem las.

Nie jesteśmy zakonem, który wymaga superspecjalizacji, nie jesteśmy intelektualistami, choć są bracia, którzy zajmują się księgowością czy sklepem. My, prości mnisi, wykonujemy rzeczy manualne. Każdy, kto ma trochę sił, pomaga w pogrzebach braci. Kiedyś pracowałem też w infirmerii, szpitalu zakonnym.

**To prawda, że mnichów chowa się bez trumny?**

- Tak. Mają tabliczkę z imieniem i datą śmierci, którą my nazywamy datą narodzenia się dla Nieba, wiesza się ją na krzyżu. Po 30 latach rozkopuje się mogiłę i składa następnego zmarłego. Na początku ta praktyka trochę mnie przerażała.

**To prawda, że witacie się słowami "Memento mori", żeby nie zapominać o śmierci? W Wikipedii przeczytałam.**

- Nie. To jakieś głupoty. Jest taki zwyczaj, że kiedy się widzimy, należy albo bez słów pochylić głowę na dzień dobry, albo uśmiechnąć się, nie wolno minąć się obojętnie. Starsi uchylają kaptura.

**A milczenie? Kiedy możecie rozmawiać?**

- My cały czas rozmawiamy, tylko bez słów.

A tak konkretnie to po tercji - jednej z siedmiu godzin kanonicznych, podczas których odmawiamy psalmy - jest tercja, nona, seksta itd. Po tercji jest zebranie całego klasztoru, wtedy rozdziela się pracę, ale też rozmawiamy, jest dużo humoru, czasem też go nie ma, bo się klimat zakwasił, ale tak czy owak to ważny moment. Od czasu do czasu organizujemy dyskusje, co zmienić, co poprawić, każdy ma prawo się wypowiedzieć. I wtedy okazuje się, że mieszkają z nami prawdziwe gaduły.

**Czym jest dla was śpiew?**

- Kultura łacińska to kultura pieśni gregoriańskiej, śpiewu unisono, tzn. śpiewamy hymny, psalmy, antyfony, responsoria jednym, dobrze zgodzonym głosem. To jest śpiew pozbawiony ozdobników, posługują się nim również dominikanie. Gregorianka, chorał gregoriański, ma nieść słowo, tu nie melodia jest najważniejsza, ale właśnie słowo, które ta melodia podtrzymuje.

**A jak ktoś fałszuje?**

- I to siedem razy na dzień, wierz mi - myśli są wtedy krwiożercze, mówiąc delikatnie. Nic tak nie niszczy spokoju jak fałszujący brat. Wtedy cała mistyka idzie na bok, mówimy sobie: "Chwała Bogu, że już skończyliśmy". Tak, czasami nasz śpiew to prawdziwa "chała na wysokościach", śpiew to również ogromna asceza.

**W tym stałym rytmie dnia jest jakiś rozwój czy to tylko rusztowanie?**

- To rusztowanie przygotowuje nas na otrzymywanie objawienia. Kiedy się śpiewa, to Pan Bóg mówi, przez psalmy. Czasami pozornie nic z tego śpiewu nie wynika, a czasami człowiek jest wezwany przez słowa psalmu. To jest bardzo mocne wezwanie, kierowane do ciebie. Śpiew ułatwia przekaz tego wezwania, jest lepszy niż recytacja, jest lżejszy, zatracamy w nim nasze indywidualne głosy, charaktery, regionalny akcent, jesteśmy razem w sposób, powiedziałbym, perfekcyjny mimo fałszowania niektórych.

**Siedem modlitw, ile to trwa?**

- To zależy, czy mnisi się śpieszą, godzinę, pół godziny każda. Pierwsza o 3.30, wstaje się o 3.15, ale to w zimie, w lecie wstajemy o 3.30, 15 minut dłużej śpimy, pełny wypas.

**Zdążysz się umyć?**

- Nie myję się, lekko się tylko otrzepuję i wygładzam. Trzeba się bardzo śpieszyć, wstajemy, ubieramy się szybko. Za św. Benedykta było łatwiej, bo on mówił, że mnisi mają spać w tunice, nie odpinając pasów, gotowi na alarm jak żołnierze, mają tylko odpiąć noże, żeby się podczas manewrów przewracania z boku na bok nie poranili. Tak stoi w jego Regule.

**A koniec dnia, ostatni modlitwa?**

- To kompleta, która zbiera, zamyka to wszystko, wtedy śpiewamy "Salve Regina", czyli witaj, królowo, bo mamy bardzo duży kult Matki Boskiej. To jest element kobiecy w naszym życiu, który nas zmiękcza i cywilizuje.

**W jakim sensie element kobiecy?**

- W takim, że w męskim klasztorze jest kobieta.

**Hm**

- No tak, że są jej wizerunki. To ważne. Ale to nie wszystko - wierzymy, że nas słucha i rozumie.

**To ma znaczenie, myślisz?**

- Tak, ma. Mnisi to mężczyźni. Mam teorię, że dopiero wtedy nabożeństwo do Matki Boskiej może w nas mądrze zakwitnąć, kiedy stajemy się mężczyznami, kiedy dojrzewamy, umiemy docenić, kto do nas przyszedł, my, nieokrzesani, próbujemy, powiedziałbym, dość kowalską metodą, stać się wobec niej szarmanccy. Dzięki temu nie wszystko jest takie ostre.

**Kobiecy wizerunek was kształtuje, tak?**

- Oczywiście. Jeśli się mówi do kogoś mamo, matko, dziewico najświętsza, to zmienia człowieka.

**A jak ktoś jest gejem?**

- To nie przeszkadza. W naszym sensie to jest matka, ktoś, kto nam pokazuje na Chrystusa, to jest ktoś z nas i ma dla nas bardzo ważne przesłanie: "Zróbcie wszystko, cokolwiek wam każe". Czasem jakiś straszny uparciuch tylko od Matki Boskiej jest w stanie coś przyjąć.

Myślę, że dla gejów kobiety też są ważne, tylko w inny sposób. Choć w moim klasztorze nikogo takiego nie spotkałem.

**Z czego żyjecie?**

- Z produkcji różnych maści, napojów bezalkoholowych składających się z 52 ziół, robimy aperitify

**Produkujesz jeszcze nalewkę antydepresyjną?**

- Już nie, to był właśnie aperitif, który podnosił morale, nie szkodził - być może nie pomagał

**Dlaczego mnisi tak często produkują i sprzedają alkohol, kartuzi np. słynny likier?**

- Bo rozwesela serce ludzkie, w ilościach słusznych - wszystko jest dla ludzi. To cała mistyka, wyważenie smaku, zapachu, czysta poezja i konkret zarazem

**Można robić perfumy.**

- No tak, ale mężczyzna nie będzie przecież robił perfum, to jakby produkował mgłę, mężczyzna chce konkretu, chce dotknąć, poczuć efekt.

**Są zakony żeńskie. Co robią trapistki?**

- Perfumy, mydełka, szampony

**Widzę, że jesteś za tradycyjnym podziałem ról.**

- Tak, bo wtedy rzeczy są na tych miejscach, które lubią, i wszystkim to na zdrowie wychodzi. Mniszki robiące alkohol, no nie Bez obrazy. Nie jestem seksistą, ale są domeny, gdzie potrzeba kobiecej ręki, i są takie, gdzie trzeba kubków smakowych męskich.

**Próbowaliście odtworzyć wspólnotę w Tibhirine. Dlaczego się nie udało?**

- Po pogrzebie braci arcybiskup Algieru wystosował apel do całego zakonu trapistów, żeby przysłali nowych braci na miejsce męczenników. Zgłosili się Chilijczyk, Hiszpan, Francuz - po roku przyjechał drugi i ja, był też z nami ojciec Amadeusz, ten ocalony.

Wyjechałem do Algierii jesienią 1998 roku, ale było wciąż niebezpiecznie i nie mogliśmy zamieszkać w Tibhirine. Władze lokalne, ale podejrzewam, że było to kierowane centralnie, nie zgadzały się na powrót mnichów do klasztoru.

Mieszkaliśmy więc w Algierze, nad brzegiem Morza Śródziemnego, przy sanktuarium maryjnym, bazylice Notre Dame d'Afrique. Mieszkaliś-my w apartamencie legendarnego kardynała Duvala, Francuza, który w czasie wojny o niepodległość potrafił bronić torturowanych przez francuskie siły specjalne Algierczyków. Francuzi nazywali go złośliwie "Mohamed Duval".

Żyliśmy nadzieją, że na powrót zagnieździmy się w klasztorze, a tak naprawdę przez trzy lata byliśmy ściśnięci w apartamencie w środku miasta. Życie monastyczne w takich warunkach wymaga raczej wielkiego heroizmu, a młodzi ludzie to przecież wulkan.

Mieliśmy prawo raz w tygodniu z solidną eskortą - ile to kosztowało państwo algierskie! - jechać w góry, żeby przypilnować upraw, zbiorów, podremontować dachy. Już o szesnastej musieliśmy wracać, bo droga prowadziła przez wąwóz Shifa, gdzie o zmroku i wczesnym rankiem zdarzały się ataki na autobusy, napady. To trwało i trwało, byliśmy rozdarci. Ale co innego nas przełamało.

**Co takiego?**

- Bardzo trudno jest zająć miejsce po silnych osobowościach, odczuwaliśmy ogromną presję Kościoła, ludzi przyjeżdżających do Algieru. Wszyscy oczekiwali, że musimy być tacy jak ci, co zginęli, a my byliśmy całkiem inni, młodzi, chcieliś-my chronić nasze indywidualności. Wydawało mi się, że jeśli tam zamieszkamy, to spędzę życie na oprowadzaniu wycieczek po historycznym klasztorze i pokazywaniu grobów, a to nie za bardzo mi duchowo odpowiadało.

Kiedy rząd po trzech latach obietnic i naszego kiszenia się w Algierze powiedział wreszcie ostatecznie, że zamieszkanie w Tibhirine jest niemożliwe, powiedzieliśmy: "Zabieramy się stąd".

**Teraz mieszkasz we Francji, w Notre Dame d'Aiguebelle, ale przedtem w Afryce. Dużo ci to dało?**

- Ogromnie. Wiesz, jak jesteśmy sam na sam z kimś, to cała kultura, tamtejsza i moja monastyczna, europejska, tak naprawdę nie ma większego znaczenia. Istnieje coś, co nazywa się ludzkością. Są różnice kulturowe, ale jak się pogrzebie głębiej, to mama jest mama, tata jest tata, radość jest radość, miłość jest

miłość, u wszystkich. Może to banalne, co mówię, ale naprawdę istnieje rodzina ludzka. I to jest wspaniałe.

**A nie chciałbyś być trapistą w Polsce?**

- Może bym i chciał, gdyby tu byli trapiści, ale nie ma powołań z Polski.

Zresztą jestem już chyba trochę ponad tym, że tylko w Polsce, albo tylko we Francji, albo tylko w Afryce. Christian ofiarował mi kiedyś karteczkę z cytatem z jednego z muzułmańskich mistyków: "Twoją ojczyzną jest Bóg". Jestem, gdzie Bóg chce, żebym był.

**Jak to jest z tymi powołaniami? Tyle ich było za czasów słynnego trapisty Thomasa Mertona, że to zjawisko zyskało miano "mertonki". Są powołania fałszywe? Mody?**

- Oczywiście. Mnichów nie musi być dużo, trzeba jednak dbać, żeby było choć kilku. Powołania mertonowskie spowodowało jego pisarstwo, a w pisarstwie zawsze trochę się buja. Ktoś lub coś jest ładnie, sugestywnie opisane, ale ten, co to przeczytał i przychodzi z tego powodu do klasztoru, już tak tego nie widzi. Oczywiście nie od razu otwierają mu się oczy, ale przychodzi taki dzień, kiedy zaczyna porównywać smaczną literaturę z siermieżną i trudną rzeczywistością. Np. wyobrażał sobie kogoś, polegając na opisie mnicha-pisarza, a potem spotyka tego opisywanego w realu i mówi: "I to ma być ten człowiek?! To jest właśnie on? Przecież to chodzący banał". W tym sensie literatura kłamie, to nie jest rzeczywistość, choć próbuje rzeczywistości dosięgnąć, jak mówił Miłosz. "Mertonka" grasowała najbardziej w USA, mimo światowej sławy książki Mertona nie są aż tak bardzo popularne np. we Francji, tu rządzą inne autorytety monastyczne, a Merton jest przyjmowany tu jako jeden z wielu. Dla Francuzów jest on zresztą mnichem "zbyt amerykańskim", cokolwiek to znaczy.

Trzeba pamiętać, że kiedy Merton odnosił sukcesy pisarskie, trwała wojna w Wietnamie, z której później powróciło do domu wielu pokiereszowanych psychicznie żołnierzy. Taki młody człowiek po Wietnamie myślał, że w klasztorze znajdzie wreszcie psychiczną przystań, dostanie książkę, a nie karabin do ręki, będzie miał ciszę i spokój. Może nawet zostanie drugim Mertonem? Nie zdawał sobie sprawy, jak ogromnym ciśnieniom psychicznym i duchowym poddawani są ludzie w klasztorze. Klasztor trapistów jest jak sowiecki okręt atomowy, jak "Kursk", tzn. jak się zanurzy, to się już nie wynurzy i trzeba tam żyć. Człowiek jest ograniczony, osaczony, wychodzą z niego różne złe rzeczy, np. autorytaryzm, "samowolka", mówię też o sobie. I trzeba sobie z tym radzić, nie tylko żyć z tym, ale i próbować to złe zmieniać. Życie pod pokładem jest trudne również dlatego, że ten drugi jest bardzo i stale blisko i znamy się jak łyse konie, żaden fałsz czy poza na dłuższą metę się nie ostoi. Wiele ofiar "mertonki" opuściło klasztor.

**Kiedy wyjeżdżasz, żyjesz inaczej, np. w Polsce tęsknisz za swoim klasztorem?**

- Tak. Brakuje mi codziennego rytmu. Tęsknię za swoim miejscem, za tym światem, który stał się mój, wszedł we mnie, tam jestem bardziej sobą.

**Myślałam, że tęsknisz za ciszą.**

- Nie Cisza to jest coś, co jest w człowieku. Niekoniecznie musi temu towarzyszyć cisza na zewnątrz, choć podejrzewam, że bracia by się ze mnie śmiali, że popadłem w antynomię - tak sobie tutaj z tobą siedzę i gadam wcale głośno o ciszy.

**Kiedy rozmawiasz z niewierzącymi, co myślisz? Można nie wierzyć w Boga, a mieć duże potrzeby duchowe, to chyba skomplikowane.**

- To akurat jest klasyczny przypadek. Posługuję się na własny użytek - co nie jest odkrywcze, może nawet jest niesłuszne - kategoriami religii i wiary.

Religia to zawsze są moje potrzeby napełniane albo przez Boga, albo przez przeżycia z nim związane lub też przez obcowanie z sacrum, ale to są moje potrzeby. A wiara to jest pytanie, jakie potrzeby ma Bóg. Wychodzę bardziej ku niemu, pytając: "Czego potrzebujesz ode mnie?". Mogę być niewierzący i fascynować się sferą ducha w sposób niezwykły, ale to w człowieku jest naturalne, tak jest stworzony. Wiara rozpoczyna się w momencie, kiedy staję przed wyborem - zaufać lub nie zaufać Komuś, pójść za Nim lub zostać. Wiąże się to z ryzykiem, ciemnością niezbyt komfortową. Bo ten Ktoś prowadzi z nami grę - pojawia się i znika, kiedy chcemy Go zatrzymać, odchodzi.

Na furtę klasztorną przychodzą oczywiście ludzie z różnych horyzontów duchowych.

**Co dają tobie te wizyty?**

- To jest spotkanie, jest to ogromne, ludzie są fascynujący. Np. spowiedź ma to do siebie, że ludzie, nawet jeśli na początku trochę udają czy chcą się jakoś lepiej sprzedać, bo to jest odruch naturalny, to po chwili wszystko z nich odpada i rozmawiamy szczerze, lekko, bez zasłon. Spowiadam bez konfesjonału, siedzimy sobie, jak my teraz, przy stole.

Ludzie opowiadają historie z życia. Pytają: "Co ksiądz o tym myśli?". Przychodzą mamy, których synowie popełnili samobójstwo. "Co ojciec o tym myśli?". Przychodzą ludzie z pokolenia '68, byli rewolucjoniści, którzy ścinali platany w Paryżu, i mówią mi: "Teraz czas na Boga - co ojciec o tym myśli?". Ludzie są bardzo mądrzy, sami znajdują odpowiedzi, wystarczy ich posłuchać.

**Czy obraz życia mnichów w filmie "Ludzie Boga" jest prawdziwy?**

- Prawidłowy. Odczuwam niedosyt z powodu nieco uproszczonego przedstawienia sytuacji w Algierii - sytuacji politycznej, religijnej i ludzkiej.

**Czego brakuje?**

- Komplikacji. Np. nie wszyscy mnisi byli wielbicielami dialogu z islamem, niektórzy mieszkali tam dlatego, bo kochali miejscowych ludzi, ale w oddzieleniu od ich wyznania. Brat Łukasz na przykład mówił, że jak czyta Koran, to ma wrażenie, że czyta kolejowy rozkład jazdy Inni byli zafascynowani islamem jako religią, która prowadzi do spotkania z innym człowiekiem. Odnoszę też wrażenie, że mnisi z filmu trochę paternalistycznie traktują mieszkańców Tibhirine. Nie można wszystkiego pokazać, ale zabrakło mi też w filmie tej ogromnej a niedocenianej pracy, jaką mnisi dokonali w swoich sercach - mówię o wyborze Algierii jako swojej nowej ojczyzny. To byli Francuzi, którzy latami wyzwalali się z kulturowej wyższości, dojrzewali do tego, żeby uznać w drugim partnera.

**Film robi wielką karierę, zdobył Grand Prix w Cannes, we Francji obejrzały go ponad 3 mln ludzi.**

- Nie chcę mówić za Francuzów, mimo że od lat mieszkam we Francji, ale na sukcesie filmu zaważyło pewnie i poczucie winy za okres kolonialny w Afryce, za tortury w Algierii, kiedy to francuscy spadochroniarze mieli carte blanche i mogli robić, co chcieli, z bojownikami o niepodległość. Teraz jest też moment, kiedy Francja, w której mieszka 6 mln muzułmanów, zastanawia się, co dalej, a film pokazuje, że można żyć wspólnie. Jest wiele spraw, które składają się na sukces filmu, bo nie sądzę, żeby zlaicyzowana Francja nagle zapałała ogromną miłością do mnichów, którzy na co dzień w jej świadomości nie istnieją. W filmie została pokazana lepsza strona Francji. Choć kto wie? Może jest to również wyraz tęsknoty za Bogiem?

**Co się teraz dzieje z klasztorem w Tibhirine?**

- Do klasztoru dojeżdża raz w tygodniu ksiądz z Mission de France, z wykształcenia agronom, który już od dziesięciu lat wszystko to, co myś-my w ogrodzie zasadzili, utrzymuje, pielęgnuje i sprzedaje. Oczywiście

podróżuje z eskortą policyjną.

**Po co istnieje ktoś taki jak mnich?**

- A któż to wie?! Jak w wierszu Gałczyńskiego: "Po cholerę toto żyje, nie wiadomo, czy ma szyję". To o bożej krówce, ale o mnichu też, bo chyba zostali powołani z tej samej bożej puli. To się fachowo nazywa zasadą bożego nadmiaru. Jednak mnich posiada pewne obowiązki - np. powinien coraz bardziej stawać się człowiekiem wolnym, wolnym również od wszelkich wzniosłych opinii o sobie i swoim powołaniu. Nie powinien dać się zamknąć w świętych zdaniach, z którymi nie ma dyskusji. Nie on jest ważny, ale Bóg, którego szuka. To jest fascynujące zajęcie dopiero!

Często mówię o bezużyteczności mnichów, już się ze mnie śmieją. No bo po co jest mnich? Ja mówię, że jest po nic.

**Kilka lat temu Peter Gröning, reżyser filmu "Wielka cisza" o zakonie kartuzów, powiedział mi w wywiadzie, że klasztor jest jak latarnia morska. Swoim istnieniem przypomina, że zawsze jest taki wybór. Głównym zadaniem, a zarazem pracą klasztoru kontemplacyjnego jest modlitwa, utrzymywanie kanału między Bogiem i ludźmi.**

- Klasztor zazwyczaj na coś czeka i mnich też na coś czeka. Życie mnicha tak naprawdę jest czekaniem. To taki wieczny adwent. Pisał o tym zamordowany brat Łukasz z Tibhirine. Mówiłem ci, że ja czekam na to, żeby zrozumieć, dlaczego oni zginęli, co to ma znaczyć dla mnie, konkretnie. I czekam, żeby Bóg mnie popchnął. I na Boga czekam. Ale Pan Bóg to nie jest maszyna do wyrzucania coca-coli, to jest osoba, z którą łączy nas silny związek, związek miłosny. Trzeba uszanować Jego wolność.

Staram się być spokojny w tym oczekiwaniu, bo na pewno coś jeszcze On wywinie. Tak mi się wydaje.

**Co można wywinąć w zakonie kontemplacyjnym, w którym prawie się nie mówi i zamiata liście?**

- Nie wiem, to są rzeczy, które przychodzą nagle, z niespodziewanej strony, wszystko jest możliwe. Kiedyś widziałem fotografię podpisaną "A może coś się wydarzy?". Ale co, nie było odpowiedzi.

**A co było na tym zdjęciu?**

- Jak to co? Mnich.

Katarzyna Bielas 2011-01-27, ostatnia aktualizacja 2011-01-25 13:39:16.0

# Burzenie bastionów
# Maciej Biskup OP

04.02.2011 10:09

## Gałęzie dla ptaków

***Bóg znajduje niskie gałęzie dla ptaków nie umiejących latać*, mówi kurdyjskie powiedzenie.**

***Wołał On głośno i tak mówił:***
***"Wyrąbcie drzewo i obetnijcie gałęzie,***
***otrząśnijcie liście i odrzućcie owoce!***

***Zwierzęta niech uciekają spod niego,***
***a ptaki z jego gałęzi.***

**Dn 4,11**

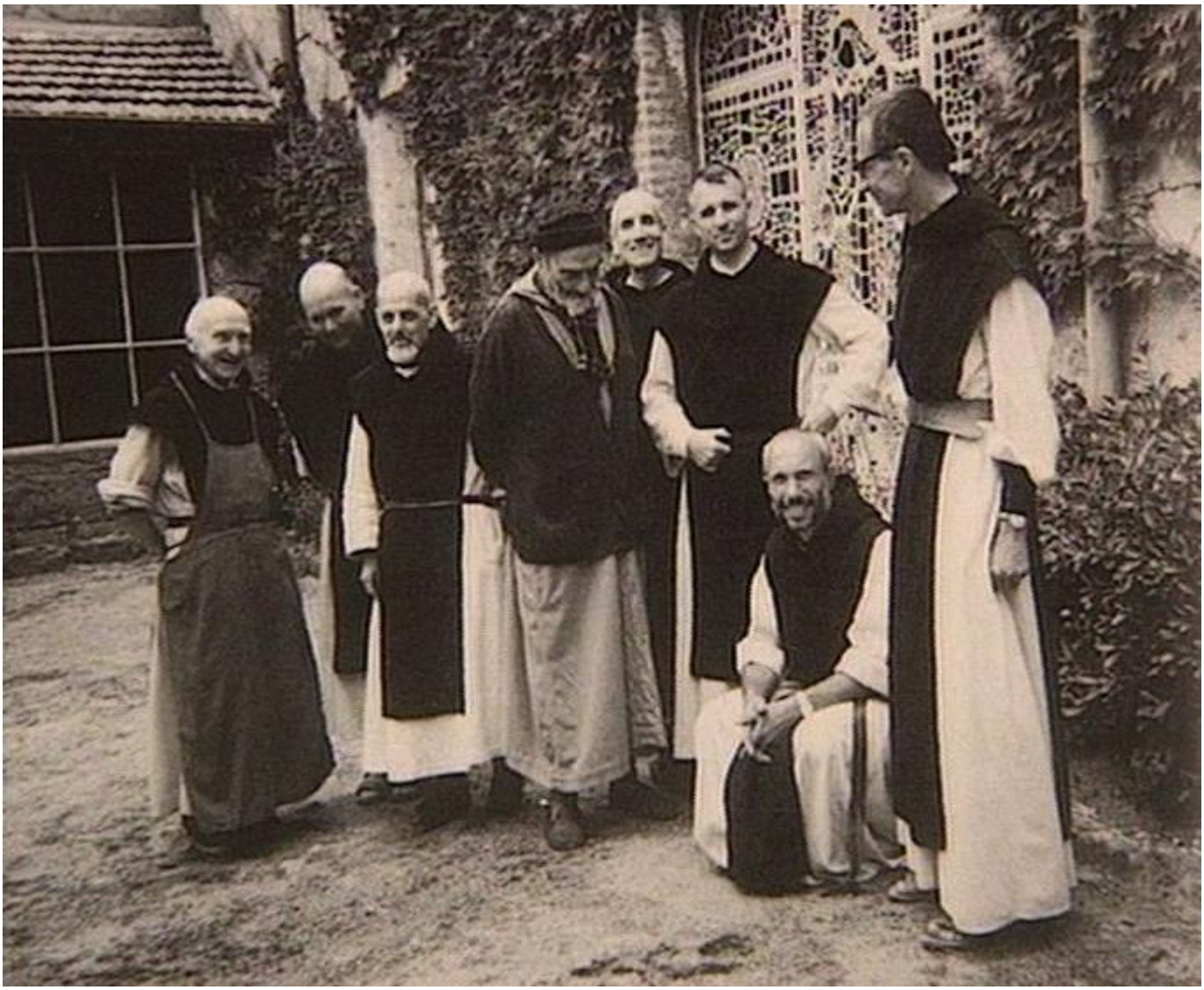

W "Ludziach Boga " jest następująca scena. Do zaprzyjaźnionego domu imama w Tibhirine przychodzą miejscowi trapiści i jeden z braci wyznaje, że ptaki czasem odlatują i być może oni, z powodu zagrożenia, będą musieli opuścić to miejsce. Żona imama odpowiada na to, że ptakami są raczej tutejsi, algierscy muzułmanie a klasztor to gałąź, która daje im poczucie bezpieczeństwa (w "Tchnieniu daru. Dziennik brata Christophe'a mnicha z Tibhirine" jest trochę inna wersja wypowiedzenia tych słów - "W drodze" 2008, s. 50). Inny z przyjaciół braci, Mohammed mówi: *wy jeszcze macie maleńką furtkę, przez którą możecie uciec. Dla nas nie ma żadnej drogi i żadnej furtki!* ("Tchnienie daru", s. 44).

Wyznanie, za którym kryje się obawa muzułmańskich sąsiadów przed niepewnym jutrem, jednocześnie jest pięknym świadectwem o trapistach.

Sto lata wcześniej, wśród algierskich Tuaregów ( "Kel tagoulmoust", czyli ludzie „zasłaniający twarz") zamieszkał, żył, pracował, modlił się i zginął z rąk bł. Karol de Foucauld - przez chwilę także trapista. Pozostawił po sobie takie słowa:

*Chcę przyzwyczaić wszystkich mieszkańców*
*chrześcijan, muzułmanów, Żydów i pogan do*

*przyjmowania mnie jako ich brata,*
*brata powszechnego.*
*Zaczynają nazywać dom >>Fraternite<<*
*...i to mnie cieszy.*

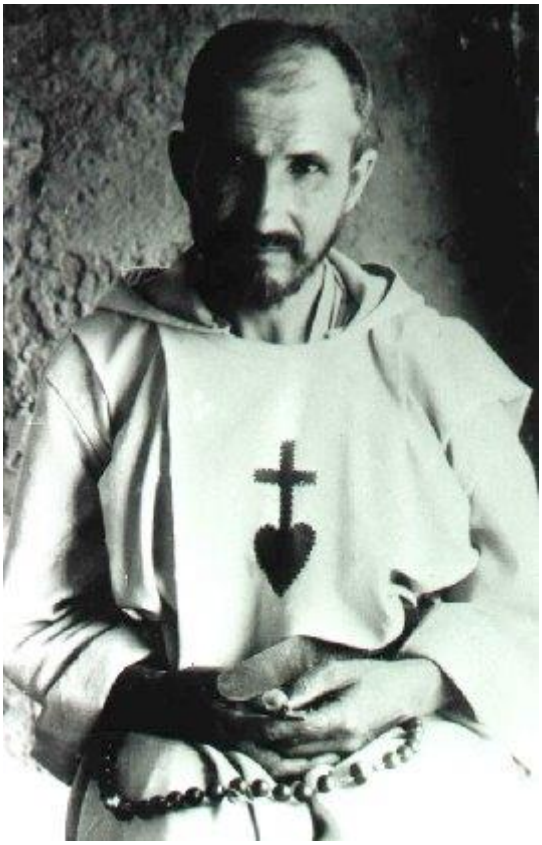

*...nie ma nic piękniejszego dla małego brata Jezusa, niż stawać się narzędziem, którym Bóg się posługuje, aby np. jakiś muzułmanin żył w łasce Chrystusowej i umierał w Chrystusie, nie przestając być muzułmaninem. W wypadku takim nie doszło do przekazania dobrej nowiny Ewangelii za pośrednictwem słów; nie było nawrócenia; nie założono Kościoła rozszerzającego widzialne mistyczne Ciało Chrystusa. Królestwo Boże. Ten muzułmanin jednakże, zbawiony przez łaskę Chrystusa, ukazuje w największym stopniu wypełnienie powołania małego brata Jezusa. (...) ...miłość bliźniego w powołaniu kontemplacyjnym, realizowanym pośrodku świata, nie ma nic z podstępu, który miałby oswoić bliźniego, aby ten właściwie przyjął księdza lub misjonarza. Miłość braterska w Jezusie, przez Jezusa i dla Jezusa nie może być wykorzystywana dla innych celów. Bliźniego kocha się takim, jaki jest tu i teraz, jakim go Bóg i pokolenia ukształtowały, kocha się całkowicie bezinteresownie i w pełnej wolności, pragnąc jego dobra, zarówno wiecznego, jak i doczesnego.*

*Jest to ewangelizacja nie przez słowa, ale przez obecność Najświętszego Sakramentu, przez Najświętszą Ofiarę, modlitwę, pokutę, pełnienie cnót ewangelicznych, miłosierdzie, przez miłość braterską i powszechną - dzielącą się wszystkim do ostatniego kęsa chleba z każdym biedakiem, każdym gościem, każdym nieznajomym, który przychodzi. Jest to ewangelizacja przez miłość, przyjmująca każdego człowieka jako ukochanego brata.*

W czytanej w najbliższą niedzielę Ewangelii usłyszymy wezwanie Pana Jezusa do tego, by być światłem i solą ziemi. Światło Ewangelii nie oślepia ani tym bardziej nie jest solą komukolwiek rzucaną w oczy. Świadectwo wiary, zawsze pokorne, rozprasza ciemności grzechu i lęku, przełamuje lody obojętności i wrogości. Autentyzm ewangelii ujawnia prawdziwych ludzi, którzy wiedzą czym jest smak życia. Żywa nadzieja sama się broni (por. 1 P 3,15), a co prawdziwe nigdy nie jest nachalne. Jest proste, choć bywa dramatycznie trudne. Lęk trapistów był realny. Gdy podjęli decyzję o pozostaniu, w ich sercach nie było

naiwnego, beztroskiego spokoju. Odnaleźli w sobie wolność, która zrodziła się z odkrycia, że już raz kiedyś podjęli decyzję wobec Boga i braci dotyczącą trwania aż do śmierci. Sytuacja, w której się znaleźli, niczego nie mogła zmienić. *Światłość w ciemności świeci a ciemność jej nie ogarnęła* (J 1,5). Gdy Jezus umierał na krzyżu, gasło w nim światło a słońce się zaćmiło. Jednak to był czas panowania prawdziwej Światłości - Miłości, która nie ustaje i nikogo nie pozostawia: *Do Pana się uciekam; dlaczego mi mówicie: Niby ptak uleć na górę!* (Ps 11,1).

Drzew się nie wyrywa, więc bracia z Tibhirine zostali. I choć ich ciała ktoś brutalnie wyrwał, to jednak nie ich dusze i serca. Trwają jako żywe gałęzie Chrystusa, na których nie tylko miejscowi muzułmanie, ale każdy zmęczony może przycupnąć, by nasycić się niezakłamaną wiarą, pełną smaku. W twarzach algierskich trapistów można wypatrzyć jaśniejące Oblicze Boga. Choć z powodu naszej ludzkiej słabości i grzechów przypominamy raczej ptaki nie umiejące latać, Duch da nam męstwo by wzlecieć do nieba.

*Wiara jest jedynym przemieszczaniem, które się liczy: podążaniem ku Tobie. Jedyną drogą, niemal obowiązkową, ale wolną od jakiegokolwiek przymusu, zachęcającą, by iść tam, gdzie Twoja dłoń prowadzi mnie po właściwych ścieżkach... otwiera się droga, a w tym samym "czasie" przenika mnie moc... mogę się wzbraniać albo poddać* - pisał w swym dzienniku 21.08.1994 roku brat Christoph (s. 115).

Trapiści w swych muzułmańskich sąsiadach dostrzegali potrzebującego Chrystusa (por. Mt 25), a ci ostatni w chrześcijańskich mnichach odnaleźli braci - autentyczny obraz Jezusa. Światło i sól. Gałęzie dla ptaków: *nad nimi mieszkają ptaki niebieskie, wśród gałęzi śpiewają* (Ps 104,12). Tibhirine znaczy przecież ogród.

*Zaprawdę, ci, którzy uwierzyli, ci, którzy wyznają judaizm, chrześcijanie i sabejczycy, i ci, którzy wierzą w Boga i w Dzień Ostatni i którzy czynią dobro, wszyscy otrzymają nagrodę u swego Pana. Nie ma dla nich obawy, ani nie doznają mąk.* (Koran, Sura II, 62)

*Najbliżsi, przez swoją przyjaźń, tym, którzy wierzą, są ci, którzy mówią: My jesteśmy chrześcijanami.* (Koran, Sura V, 82).

*Złożyliśmy w serca tych, którzy poszli za nim (Jezusem), łagodność i miłosierdzie, i stan zakonny, który oni wprowadzili.* (Koran, Sura LVII, 27).